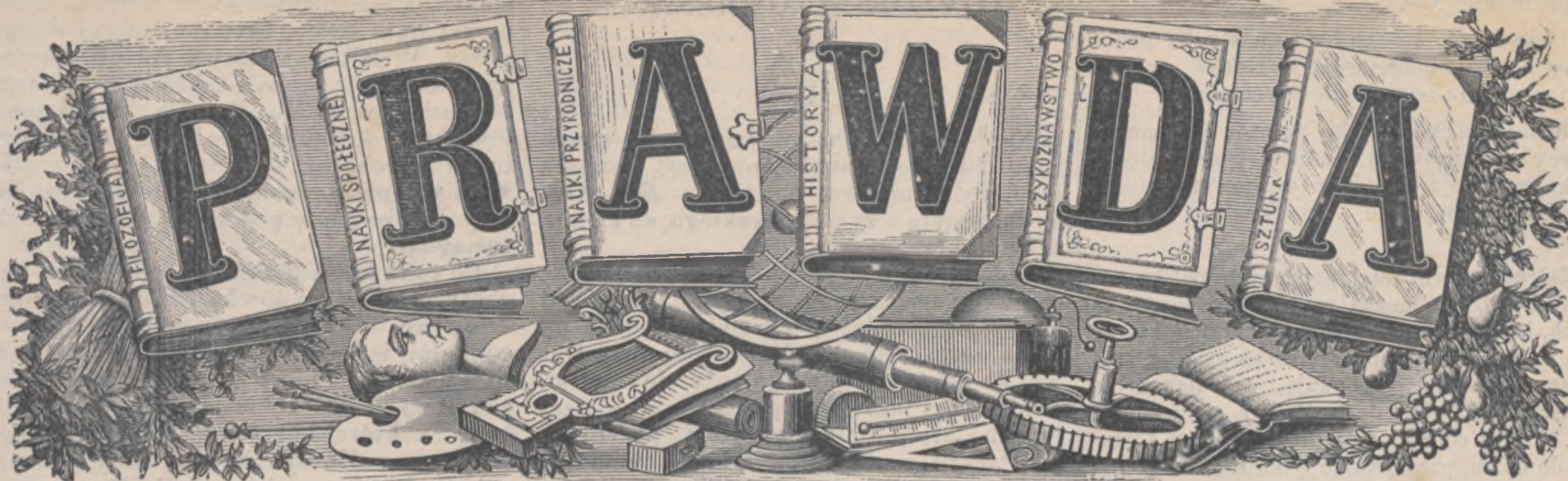
№ 24. Warszawa, dnia 13 (2) Czerwca 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

Cztery tomy **Głównych prądów literatury XIX-go wieku** Brandesa zostały uzupełnione i rozesłane abonentom. Ponieważ wszakże tomu czwartego dla niektórych przedpłacicieli nam zbrakło, prosimy więc ich jeszcze o kilka tygodni cierpliwości dla nowego skompletowania. Tomy: I, II i III w osobnej sprzedaży kosztują po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2; całe dzieło, którego cenę zniżoną rs. 4 (z przesyłką pocztową rs. 4 k. 50) pozostawiamy jeszcze, po skończeniu abonamentu kosztować będzie rs. 6, z przesyłką rs. 6 k. 50. Nadmieniamy, że zniżona cena nasza jest **cztery razy mniejszą**, niż wydania niemieckiego.

PRUSKI HUMANIZM.

Kto chce zrozumieć edykt pruski przeciwko polakom, niech czyta dzieło Kalinki, którego twarz zdaje się uśmiechać złośliwie do krytyków, zarzucających mu stronność w sądzeniu partyi pruskiej na sejmie czteroletnim.

Istotnie, dzieckiem zdrady jest okrucieństwo, albo — jak powiedział jeden z posłów niemieckich — nienawiść do tego, któregośmy skrzywdzili. Taki edykt można było wydać przeciwko ludziom, za których się nikt nie upomni i którzy żadnych praw nie mają. Niższe władze przyjęły początkowo za zasadę, że ci wychodźcy, którzy przybyli przed r. 1863 mają być uznani za poddanych pruskich.

„Zasadę tę—pisze *Gazeta toruńska*—wyższe władze uznały za błędną, a wskutek tego tutejsza landratura szuka synów wychodźców, którzy są w czynnej służbie wojskowej, albo w rezerwie i obronie krajowej, albo w marynarce, by wyjednać im uwolnienie ze służby. Pomiędzy tak zwanymi „polskimi zbiegami" są i tacy, którzy mówią po niemiecku i mogą dostarczyć dowodu, że w ewangielickim kościele byli chrzczeni. Im doręczono także nakazy wyjścia."

Ale posłuchajmy wyznania bezczelności. *Weser-Zeitung* — gazeta liberalna! — powiada, że „cel nowych rozporządzeń jest tak *ważny*, iż wobec niego ustąpić *muszą* względy humanitarne (pruskie!)"

I jakiż to cel? Osłabienie tego żywiołu, który „już od wieku wbił się klinem w ciało *nasze* (niemieckie!) i opiera się zlewowi zgermanizmem." Polacy tedy wkradli się do cudzego domu, z którego trzeba ich wygnać. Postęp niewątpliwy! Niedawno jeszcze — nie przed wiekiem, ale przed kilku tygodniami — ks. Bismark używał wyrazu „nasze" w znaczeniu prawa zdobywców, dziś już narodowo-liberalna gazeta używa go w znaczeniu prawa wydziedziczonych. Kolebka Polski Gniezno — to gniazdo pruskie, w które lacka kukułka jajka zniosła. Bakterya polityczna, tak pięknie wyhodowana w bulionie *Weser-Zeitung*, ma nawet swój ogonek historyczny, którym usiłuje dowieść, że „Słowiańszczyzna od Henryka Lwa" odrywała zagony niemcom a i obecnie grozi podbojem.

„Jest to oczywiście dopiero początek reakcyi—pisze dalej *Weser-Zeitung*; tama, położona napływowi polaków zagranicznych stanowi pierwszą maleńką przegrywkę."

Wilk by zdechł, połknąwszy gałkę tym cynizmem nadzianą.

Rusk. Wiedomosti piszą:

„Przypuściwszy nawet, że pobyt w Prusach trzydziestu tysięcy Polaków rosyjskich rzeczywiście sprawiałby niejakie niedogodności z punktu widzenia germanizacyi i kultury pruskiej, to przecież w każdym razie rząd pruski nie powinienby zapominać, że i rosyjskie także interesy cierpieć mogą skutkiem olbrzymiej masy niemców, zalewających naszą Polskę i kraj południowo-zachodni, zwłaszcza że jednostki te liczymy nie na dziesiątki, lecz na setki tysięcy, wielce niebezpiecznych nie tylko pod względem współzawodnictwa z naszymi fabrykantami. kupcami, rolnikami i rękodzielnikami, ale też i pod względem politycznym na przypadek, gdyby stosunki nasze z sąsiadami najbliższymi uledz miały zmianie. Jeśli rząd pruski uważa za rodzaj niebezpieczeństwa dla milionów swoich poddanych 30,000 obywateli państwa rosyjskiego wśród nich osiadłych i przedsiębierze przeciwko nim środki represyjne, to nawzajem i o wiele więcej niepokoićby się powinna Rosya o swoje prowincye zachodnie, w których się zgromadziły całe setki tysięcy obcokrajowców, żyjących zupełnie oddzielnie, korzystających z opieki prawa rosyjskiego i utrzymujących stały związek ze swoim, tuż obok położonym, „*Vaterlandem.*" Zapobiegamy zwykle najstaranniej, ażeby żywioł żydowski nie podnosił się po za pewien odsetek w reprezentacyach samorządu miejskiego i nie rozpływał się po za granice stałego swego osiedlenia; więc dlaczegożbyśmy nie mieli ograniczyć liczby i praw poddanych obcych w guberniach naszych zachodnich, nie dopuszczając ich nigdzie do przewagi liczebnej po nad pewną normę i protegując wobec ich współzawodnictwa interesy ludności miejscowej ruskiej i polskiej. Przekonani jesteśmy, że dość byłoby okazać gotowość do podjęcia środków podobnych, aby rząd pruski stał się nieco więcej przyjacielskim względem poddanych rosyjskich, z którymi jak dotąd, nie potrzebuje sobie robić zbyt wielkiej ceremonii."

Weser-Zeitung, odpierając tę groźbę, powiada:

„Gdyby na to, co się stało, odpowiedzieć chciała Rosya represaliami, to mogłaby to zrobić wówczas, gdyby rosyjskim prowincyom zagrażało ich zgermanizowanie. Takich zaś prowincyj nie ma w Rosyi."

Niema? A prowincye nadbaltyckie? A całe okręgi w kraju zachodnim? A dawnoż to z *Zeitungów* wysuwały się jadowite żądła na Rosyę, gdy niemcom nadbaltyckim kazano tylko korespondować z władzami po rosyjsku?

„Państwo nowożytne nie może przyznawać jednemu plemieniu wyjątkowych, górujących praw; ono wymaga w swoim obrębie i wnętrzu zrównania, jednolitości ludów; jeżeli się uchybi tym wymaganiom, wyradza się stan chorobliwy, który państwu bardzo zaszkodzić może."

Użyjmy metody Sokratesa.

Czy Rosya jest państwem nowożytnem? Jest.

Czy niemcy nie używają w niej praw wyjątkowych? Tak.

Czy tworzą jednolitość z zaludnieniem miejscowem? Nie.

A więc? Co by to było za wycie przeróżnych *Zeitungów*, gdyby Rosya to *więc* dopowiedziała i wniosek wyciągnęła.

Pozbawieni robotnika rolnicy i przemysłowcy nadgraniczni, niemcy, skarżą się na edykt pruski i chcieliby go przynajmniej częściowo złagodzić. *Schlesische Zeitung* pisze:

„Zatrudnionych tutaj poddanych polsko-rosyjskich podzielić można na trzy kategorye: na takich, którzy tu stale mieszkają, takich, którzy mają mieszkanie i gospodarstwo za granicą, ale w ciągu tygodnia przebywają, wracając tylko w niedziele i święta do Królestwa, wreszcie takich, którzy co dzień przechodzą granicę i wracają do domu, przebywając tylko u nas w godzinach pracy. Wydalenie mogłoby się przeto ograniczyć tylko na robotników pierwszej kategoryi, a takich jest bardzo mało. Przemysł w tym razie na wykonaniu rozporządzenia poniósłby ledwie nieznaczny uszczerbek. Daleko dotkliwiej dałoby się we znaki wygnanie robotników drugiej kategoryi; a niepowetowaną stratą byłoby, gdyby zakazano przybywać takim, którzy co dzień z Królestwa przychodzą do pracy. Mianowicie w kopalniach cynku rekrutują się najniższe klasy robotników, wyrobnicy, tragarze, taczkarze, jakoteż robotnice, pracujące w zakładach wyrobu spiżu, z takich przybyszów. Tak np. pracuje w kopalni Scharley 100, w Bleischarley 260, w Heue Helena 40, w Caecilie 220, w Wilhelmsglück około 60 robotników, przychodzących z zagranicy. Wydalenie tych ludzi nietylkoby było dla samych kopalni niepowetowaną stratą, ale oddziaływałoby bardzo niekorzystnie na tutejszych robotników, ponieważ polacy *nie posuwają się do kategoryi lepiej płatnych*, wskutek czego krajowi robotnicy szybciej awansują. Leży to przeto w interesie górnoszląskiego przemysłu, aby na robotników choćby tylko kategoryi drugiej i trzeciej nie rozciągano rozporządzenia banicyjnego."

Interes tedy w piersi pruskiej pełni obowiązki sumienia. On tylko może zrobić ustępstwo „względom humanitarnym."

Co za naród, co za czas!

GUY DE MAUPASSANT.

II.

Najdoskonalszym niewątpliwie utworem Guy de Maupassanta jest ostatnia jego jednotomowa powieść — *Bel-Ami*. Treść wzięta z życia paryskiego, ze świata dziennikarskiego.

Bohaterem jest niejaki Georges Duroy, syn karczmarza na prowincyi. Uczęszczał on do szkół średnich, egzaminu jednak na baccalaureat nie złożył, lubo trzy razy stawał do niego. Wstępuje tedy do wojska i służy czas jakiś w Algierze; ale w szeregach armii nie zostaje i przybywa w Paryżu szukać szczęścia na wielkim świecie. Idzie mu z początku nie łatwo; z trudnością zaledwie dostaje posadę urzędnika na kolei z pensyą 100 fr. miesięcznie, stara się już nawet o miejsce berajtera w jednej z ujeżdżalni... Podczas tych poszukiwań spotyka przypadkiem na ulicy dawnego towarzysza broni z pobytu w Algierze, i opowiada mu o swem skromnem stanowisku i jeszcze skromniejszym zarobku. Kolega (Forestier) stoi już świetnie, jest dziennikarzem, ożenił się i żyje w dostatku. Spotkanie jest bardzo serdeczne. Przy kufelku piwa wszczyna się przyjacielska gawęda przeplatana wspomnieniami, i kolega—literat proponuje przyjacielowi, czyby nie sprobował szczęścia w dziennikarstwie. On właśnie potrzebuje nawet teraz reportera, któryby zbierał według danych wskazówek wiadomości po Paryżu. Duroy, zachęcony i ośmielony przyjmuje propozycyę, lubo nie ma wyobrażenia o tem, jak będzie pisywał... Nigdy mu przez głowę nie przeszło, żeby miał zostać literatem... Nie święci jednak garnki lepią — puszcza się na szeroką dziennikarską wodę i szybko postępuje w nowym zawodzie. Jest wytrwały w robocie, młody i zdrów, ma przytem wiele sprytu i zręczności w przyswajaniu sobie potrzebnych wiadomości, w zbieraniu zresztą różnych dziennikarskich informacyj. Posiada przytem jedną jeszcze ważną zaletę—jest ładnym, dobrze zbudowanym chłopcem i kobiety przepadają za nim, ułatwiając mu znakomicie zrobienie karyery. Łaskawem naprzód patrzy na niego okiem żona przyjaciela, kobieta młoda, powabna i ukształcona, posiadająca liczne stosunki w Paryżu i dopomagająca bardzo czynnie mężowi w jego pracy. W salonie państwa Forestier świeży dziennikarz poznaje także zachwycającą brunetkę, panią de Marelle, której mąż, inspektor kolejowy, całymi miesiącami bywa nieobecny w Paryżu i mile jest widziany przez panią Walter, żonę wydawcy *Vie française*, pod której sztandary się zaciągnął.

Po roku czasu Forestier umiera na suchoty, i młoda wdówka oddaje Duroyowi swą rękę, wraz z swym majątkiem, stosunkami i cennem współpracownictwem literackiem. Pani F. jest kobietą niezależną i wymawia sobie jaknajszerszą swobodę, z której korzystała i za pierwszego małżonka. Duroy za radą żony zmienia wówczas swe nazwisko na Du Roy, mimo że pracuje w opozycyjnym dzienniku i dodaje sobie przystawkę de Cantel, od miejscowości, z której pochodził. Du Roy de Cantel idzie szybko w górę i uprawia już z powodzeniem w dzienniku politykę wewnętrzną. Chodzi o obalenie ministeryum i o wyniesienie jednego z przyjaciół dziennika na ministra spraw zagranicznych. Kampania udaje się i p. Laroche-Mathieu, będący codziennym gościem w domu państwa Du Roy, zostaje ministrem. Wydawca *Vie française* robi wtedy świetny interes. Akcye marokańskiego długu stoją nadzwyczaj nisko. Trzeba kurs ich utrzymać na jaknajniższym poziomie, przekonywając opinię, że Francya nie ma żadnego interesu mięszać się w sprawy marokańskie. Zrobiwszy to p. minister wraz z p. Walterem wykupują akcye po cenach zniżonych, i wtedy ministeryum podnosi i przeprowadza projekt okupacyi Maroko oraz poręczenie długu. Akcye podskakują nagle w górę i sam zręczny wydawca półurzędowego teraz dziennika zyskuje na tej finansowo-praktycznej operacyi 50 milionów. (Cała ta historya jest literalnem prawie powtórzeniem podobnej operacyi w Tunisie za ministeryum Ferrego).

Z pomocą pani Walter, która jest zakochana po uszy w Duroy i miewa z nim schadzki, zyskuje i on przy tej sposobności 60,000 fr., nie posiada się jednak ze złości, że zyskał tylko tyle... Tymczasem jego żona otrzymuje w spadku po pewnym hrabim, domniemanym jej ojcu czy wielbicielu milion franków. Spadek ten przyjąć

---

4)

BEZ POWROTU.

Lipska, gdy się znalazła w saloniku, doznała przyjemnego wrażenia: zmrok, woń kwiatów, wytworny komfort zlewały się rozkosznie. Przez chwilę stała na środku wodząc zdumionym wzrokiem. Nikt nie wyszedł na jej spotkanie; tylko, gdy przestąpiła próg werandy, ponter podniósł się ociężale i poszedł przed nią do salonu, stamtąd do dalszych pokojów; tym sposobem zapewne oznajmiał panu o gościach. Nie zdążyła jeszcze rozejrzeć się dostatecznie, gdy pies wrócił a za nim dały się słyszeć szybkie kroki w pantoflach; Gilewicz śpieszył, zapinając surdut na jeden guzik. We drzwiach uśmiechnął się, zatarł ręce radośnie.

— Królowo moja łaskawa! Otóż to spotkanie, anim się spodziewał, ani mi się śniło, że kiedykolwiek ujrzę moją pieszczoszkę śliczną! — prawił całując ją stokrotnie po rękach. No, siadajże pani moja złota, ot tu bliżej, po dawniejszemu! Wyglądasz, jak różyczka! Ślicznie, prześlicznie, no, i nic dziwnego, tożto teraz zaledwo rozkwitłaś pani prawdziwie.

Zsunął dwa fotele, usiadł bliziutko i trzymając jej ręce w dłoniach, patrzał w twarz z przymileniem.

— Skądże przybywasz? Jakie bogi zagnały panią do naszego miasta — prawił dalej zachwycony, uśmiechnięty; mów prędzej, chcę posłyszeć ten głosik pieszczony. Oj kobietko! W obecności twojej człek młodnieje, jak honor kocham. Wszak się nie obrazisz, jeżeli stary dziad zbyteczny razik w rączkę pocałuje, co? zapiszemy to na rachunek starej znajomości! Rozpiął rękawiczkę i złożył kilka głośnych całusów niżej dłoni. Przepadam za ładnemi łapkami. Z chorobą tą pójdę już do grobu! Che! che! che! Wybaczysz, prawda? No, mówże przecie! Patrzysz, jakbyś liczyła siwe włosy w mojej czuprynie! Niespodzianko ty moja śliczna.

— Pan wiedział przecież, że przyjadę — rzekła korzystając z chwilowej przerwy w grzecznościach i pocałunkach. Cały ten wylew serdeczności wydał się jej zbyt jaskrawym, poufałym nad miarę; wysunęła ręce z jego dłoni, patrzyła mu w oczy poważnie, usiłując poskromić wybuchy jego czułej radości. Usłyszawszy odpowiedź, otworzył oczy szeroko, ręce złożył jak do pacierza.

— Ja? Królowo! A skądże mnie grzesznemu takie błogie myśli przyjść mogły! Wiedziałem, że zagustowałaś w życiu stołecznem. Słyszałem o tryumfach w teatrze... Oh, nie krzyw się pani! Ja sztukę cenię, a aktorki jeszcze więcej!

Rozparł się w fotelu, zarzuciwszy nogę na nogę, usiłował znowu ująć jej rękę.

— Powiedz, czemu opuściłaś teatr? Wszak to jakby dla pani stworzone z taką powierzchownością...

— Mówmy o interesie—przerwała z niecierpliwością.

Teraz już była pewną, że człowiek ten wypowie jej za chwilę straszną jakąś wiadomość.

— Wuj, umierając, zostawił rozporządzenie.

— Żadnego, królowo moja! Zgasł najspokojniej w świecie i pora mu była, cherlał w ostatnich czasach strasznie! Oh, ta starość! żeby ją można było wymienić na wasze śliczne latka.

— Wuj mówił panu...

— O tobie, śliczna moja pani? bardzo często! ciągle prawie! Chociaż czas jakiś był niezadowolony z tego teatru... Wyobraził sobie, że wszystkim chórzystkom oficerowie gorsety sznurują! Che, che, che! Objaśniałem go, że w tak delikatnej sprawie siła wojenna nie jest koniecznie potrzebną. Nie słuchał! Stary miał swoje uprzedzenia.

Lipska sponsowiała, oczy błysnęły; stłumiła oddech, usiłując zdobyć się na chwilę spokoju.

— Pan wie, że jestem jedyną sukcesorką wuja; w braku testamentu mam dowody pokrewieństwa, mam list wuja pisany przed miesiącem, w którym raz jeszcze wspomina, że wszystko, co posiada jest

jednak może tylko za zezwoleniem męża; Duroy oczywiście pozwala, pod tym wszakże warunkiem, że żona odstąpi mu połowę. Jest już więc bogatym, ambicya jego atoli nie ma granic. Miliony Walterów spać mu nie dają.

Przemyśliwa tedy nad sposobami wzbogacenia się, a los dopisuje mu wybornie i tym razem. Starsza córka Walterów, młodziutka i przystojna Zuzanna jest także zakochana w Bel-Ami—jak nazywają kobiety przystojnego dziennikarza. Wzbogacony finansista chce córkę wydać za jakiegoś księcia, Duroy jednak postanawia ją zdobyć dla siebie. W tym celu, zapewniwszy się o względach panienki, szpieguje swoją żonę, łapie ją na kompromitującej schadzce z p. ministrem spraw zagranicznych, konstatuje „le delit de l'adultère" przy pomocy policyi, dostaje rozwód, wykrada pannę i wkrótce żeni się z nią. Jest tedy już milionerem, a niebawem będzie posłem, może nawet i ministrem spraw zagranicznych...

Oto treść powieści, wyrwana żywcem z bruku paryskiego.

Ostatni ten utwór utalentowanego pisarza posiada spotęgowane znacznie zalety prac jego poprzednich. Język żywy, dosadny, charakterystyka postaci powieściowych barwna, plastyczna i rzucająca się w oczy. Duroy jest doskonałym typem przeciętnego dzisiejszego francuza, dobijającego się karyery, a tło, na którem działa ten bohater, jest także na wskroś współczesne, paryskie. Wybornie narysowane są postacie kobiece, dwie szczególniej, pani Du Roy i pani de Marelle. Pierwsza to, fine mouche, jak się o niej jeden z dziennikarzy wyraża, druga to paryski iście temperament, „gamine," wyrwana z Łacińskiego kwartału. Dodajmy, że przed drastycznemi scenami Maupassant skromnie się nie cofa, ale nie daje śladem Zoli obszernych i plastycznych patologiczno-fiziologicznych opisów, powstrzymując się od postawienia w niektórych sytuacyach kropki nad *i*.

Krytyka może spotkać autora z zarzutem, że namalował obraz zbyt pesymizmem podszyty. Koledzy—dziennikarze wytknęli mu już, że Duroy nie jest bynajmniej typem przeciętnego nawet paryskiego dziennikarza — mimo to jest on niewątpliwie typem prawdziwie paryskim.

Co się tyczy społecznego tła przeczernionem ono nie jest. Autor kreśli swój obraz z pogodnym jakimś spokojem, kładąc przytem w usta jednego z dziennikarzy, poety, schorowanego starego kawalera takie uwagi:

„Czemże jest człowiek? Kilka lat żył, jadł, śmiał się, kochał, dążył do czegoś jak wszyscy. Pewnego pięknego poranku kończy się to wszystko! Życie — kilka chwil nic więcej! Rodzisz się, wzrastasz, jesteś niby szczęśliwym, oczekujesz czegoś i potem umierasz. Dowidzenia! mężczyzna czy kobieta, nic już was nie wskrzesi. A jednak każdy nosi w sobie gorące i niespełniane nigdy pragnienie (może to dziedziczny atawizm) czegoś wiecznego, każdy chce być jakimś oddzielnym światem w tym wszechświecie i każdy mimo to ginie bezpowrotnie w tej mierzwie, na której wyrastają młode ziarna. Rośliny, zwierzęta, człowiek, gwiazdy, światy — wszystko to ożywia się, ażeby umrzeć. I nic nie zmartwychwstaje—owad, człowiek ni planeta..."

„Człowiek podobnym jest do tych much, co żyją kilka godzin, do tych zwierząt, co żyją lat kilka, do planet, które żyją kilka wieków. Jaka jest różnica między życiem tych istot—kilka godzin czasu, nic więcej."

Konkluzya nawskroś nowożytno-epikurejska: „Jest atoli jedna rzecz dobra w życiu—miłość. Tu leży kres ludzkiego szczęścia."

Pod tem filozoficznem *credo* może się podpisać cały prawie francuski naturalizm.

E. P.

ROZWÓJ MORALNOŚCI

(według Ch. Letourneau).

II.

Dwa głównie czynniki złożyły się na wyrobienie w sumieniu ludzkiem uczucia obowiązku. Naprzód kary wymierzane przez jednostki albo też grupy rządzące, potem wpływ moralny otoczenia społecznego—nacisk opinii. Pojęcie dobrego i złego zrodziło się pod działaniem nagany stale udzielanej pewnym czynom, zakazywanym przez opinię panującą. Bardzo jednak często czyny te, wzbraniane lub zalecane, szkodliwe są lub użyteczne dla pewnej tylko kasty lub warstwy społecznej. Potrzeba uznania innych wytworzyła się w większości umysłów, ale w praktyce zdarzały się zboczenia najdziwniejszej natury. Instynkt samozachowawczy jest bez wątpienia uczuciem najbardziej pierwotnem, jednakże anglicy w Indyach z trudnością powstrzymują wdowy kast wyższych od palenia się żywcem z trupami swych mężów. „Powinnam się spalić—mówiła wdowa po rajahu—kobiety niskich klas nie palą się nigdzie."

Życie w społeczeństwie uczyniło człowieka istotą nadzwyczaj wrażliwą na pochwałę lub naganę, lecz pochwały i nagany często bywają udzielane na oślep. Naprzykład u większości cywilizowanych zabójstwo jest wielką zbrodnią, a przecież ciż sami ludzie uważają się za pozbawionych honoru, nie przyjąwszy pojedynku. Jak zobaczymy, kradzież była jednym z występków najwcześniej i najsurowiej potępianym przez moralność i zakazywanym przez prawa, lecz w Sparcie zręczna kradzież przynosiła zaszczyt młodemu człowiekowi.

Słowem pod naciskiem hamulców politycznych i religijnych wytworzyło się silniejsze albo też słabsze poczucie obowiązku — podstawa wszelkiej moralności. Z czasem, pomimowoli, człowiek nabył władzę poddawania swych czynów jakiejś kontroli—przyzwyczaił się przewidywać skutki—stąd wytworzyły się pewne dążności moralne lub niemoralne i stały się instynktowemi.

Taki rezultat był ogólnym, ale nie powszechnym. Niektóre osobniki, wzrosłszy w otoczeniu odrębnem, pozostały mniej więcej po za wpływami wielkiej kultury ogólnej. Prócz tego od czasu do czasu atawizm odtwarza dziś jeszcze typy dzikie, które przed tysiącami lat, śród ludzkości pierwotnej, byłyby może odegrały świetną rolę, a dziś są niepoprawnymi zbrodniarzami. Skłonności zwane niemoralnemi są w nas głęboko zakorzenione, ponieważ—jak to zaraz zobaczymy — stanowiły moralność zwierzęcą pierwszych społeczeństw. Psychiatrzy, lekarze sądowi zbyt dobrze wiedzą, iż dążności zwane złemi przekazują się powniej jeszcze niż

---

moją własnością. A teraz prosiłabym pana o ustąpienie choć z dwóch pokojów, żebym się mogła przenieść z hotelu, potem pomówimy o innych warunkach.

Mówiła spiesznie, jakby się lękała, że wkrótce tchu jej zabraknie; ściągnęła brwi, usiłując nadać sobie stanowczą postawę.

On słuchał z udaną powagą; dolna warga drgała od tłumionego śmiechu.

— Więc to taki interes! Cha, cha, cha, o moje ty caceczko! Jakże można nieznać najbliższych stosunków rodzinnych! Żartujesz sobie chyba ze mnie starego. Wszak masz brata stryjecznego. Co? Masz czy nie? Co? Cha, cha, zapomniała, jak honor kocham. To piękne kobietki są wyborne, w najlepszym razie pamiętają o swoich wielbicielach tylko.

— Co pan mówi? — szepnęła jak odurzona.

Śmiał się przeciągłym, wymuszonym śmiechem; widocznie zostawił jej chwilę do oswojenia się z nowem położeniem. Uspokoił się wreszcie, pochylony ku niej, patrzał w oczy i mówił zwolna, dobitnie, jakby wykładał lekcyę.

— Wuj pani miał brata oficera. Nie znali się prawie, gdyż ten ożenił się bogato, żył w wielkim świecie i umarł przed trzydziestu laty. Po nim został syn jedynak, dziś śliczny huzar, *grand seigneur*, elegancki panicz, i ten według prawa jest sukcesorem. Dom, ogród, wszystkie sprzęty są jego własnością. Zawiadomiłem go o tem natychmiast po śmierci starego; zdziwił się zapewne otrzymawszy sukcesyę po stryju, którego na oczy nie widział, ale natychmiast przysłał mi formalną plenipotencyę, upoważniając do sprzedania fortuny spadłej niby z niebios. Kupuj pani—dodał żartobliwie—krewni mają zawsze pierwszeństwo w takich razach. Cóż znaczy ta zdziwiona minka? Czy w istocie nie znasz pani swego kuzyna?

Czy go nie zna? Alež ona nigdy o nim nie słyszała! To jest, niegdyś, przed laty matka jej wspominała, że miała brata, który się ożenił z cudzoziemką, zmarł młodo, i odtąd wszelkie stosunki z pozostałą rodziną zostały zerwane. W starym albumie widziała niegdyś fotografię wojskowego, obok pani z małpią twarzą, w szerokiej sukni, w bufiastych rękawach która trzymała na kolanach pyzate maleństwo z dużą główką, bez włosów, z rączkami jak u lalki. Maleństwo to wyrosło na ślicznego huzara i stało się prawym sukcesorem nieznanego stryja. Z początku słuchała jak bajki, uśmiechnęła się nawet złośliwie; przypomniawszy o fotografii — zdrętwiała. Gilewicz mógł jej oznajmić, że jest kuzynką cesarza chińskiego, słuchałaby również spokojnie.

— Tak, tak... przypominam sobie... — szeptała... — przypominam...

Gilewicz patrzył na nią uważnie.

— Zawiodłaś się pani trochę. Cóż robić... takie prawo! Stary powinien był zrobić testament, wówczas... możeby jakkolwiek... Hm, stało się... Zresztą spadek to nie wielki, kilka tysięcy... roczna pensya ojca pani więcej wynosiła!... Tak, tak, smutno trochę... Ja sam, żałuję szczerze, ale cóż począć... przeciw prawu... trudno!

Gadał dalej na ten temat, trochę zakłopotany... kręcił młynka palcami; chciałby, żeby ona sobie poszła, nie był stworzony na pocieszyciela, żartować nie wypadało. Spojrzał parę razy z ukosa i zamilkł.

Siedziała nieruchoma z głową przechyloną na ramię... Czuła, że trzeba wstać, odejść, że tu już niema nic do zrobienia... ale nie mogła jakoś... Milczeli; w pokoju brzęczało kilka komarów zabłąkanych przez otwarte okna, pies skrobał się pod stołem, uderzając łapą o posadzkę. Gilewicz poruszył się w fotelu, Lipska wstała; należało odejść, inaczej gotów jeszcze wyprawić; podała rękę, ale przemówić nie miała siły. Wyszedł za nią na ganek i tu, na świeżem powietrzu, odzyskał zwykłą swobodę.

— Żadna piękna kobieta nie wychodzi odemnie bez bukietu — zawołał, wyprzedzając ją na schodkach. Kilka róż, narcyzów, trochę drobnych kwiatków; złożę bukiecik godny rączek pani.

Zrywał kwiaty jedne po drugich, ona stała na środku drogi, obejrzała się na dom, na ogród... Przed godziną śniła, że to

dobre, że są rodziny złodziejów, podpalaczów, zabójców etc.

Zatwardziali zbrodniarze, według dr. Bruce-Thomsona, lekarza więzienia w Szkocyi, nie posiadają zmysłu moralnego. Na 500 blisko znanych nam zbójców zaledwie dwóch lub trzech doświadczało jakiegokolwiek wyrzutu sumienia. G. L. Chesterton zapewnia także, iż dziewięć dziesiątych złoczyńców z przyzwyczajenia lubi swe występki. „O Boże! jak przyjemnie jest kraść—mawiał młody złodziej, gdybym miał miliony, zawsze chciałbym być złodziejem.“

Na zakończenie przytoczmy słowa Montaigne'a: „Obyczaje i usposobienie—to właściwości wyrobione przez długie wieki, a kto mówi, że cnoty nabywają się także przez nawyknienie, zdaniem mojem nie myli się wcale.“

Wniosek powyższy jest koniecznym, gdy zastanowimy się nad fazami rozlicznemi, jakie przebyła moralność w swym rozwoju historycznym.

Że ona nie stanowi wyłącznego przywileju ludzkości—jest to fakt, nie potrzebujący dziś dowodzenia. Chociażby najbardziej pierwotne, życie społeczne pociąga za sobą pewne ścieśnienia swobody osobistej—wypełnianie pewnych obowiązków. Dlatego też społeczeństwa zwierzęce, tak jak i ludzkie, mają swą moralność. Przy sporej liczbie nadużyć spotykamy wśród nich wzajemny szacunek i dopomaganie sobie w większym lub mniejszym stopniu. W świecie więc zwierzęcym należy badać to, co możnaby nazwać embryologią moralności. Fakty zresztą są liczne.

P. Blyth widział kruków indyjskich karmiących dwóch czy trzech ślepych towarzyszów. Ja sam widziałem, jak kanarki żywiły przez kilka lat starą samiczkę niedołężną, podobno swą prababkę. Darwin przytacza podobny fakt z życia koguta domowego. Następujące zdarzenie, opowiedziane przez Brehma, który był naocznym świadkiem, jest jeszcze bardziej zajmujące. Dnia jednego w Abisynii gromada pawianów, napadnięta przez psy, musiała uciekać, Najstarsze samce strzegły odwrotu, ale jeden z nich głównie się odznaczył. Młody sześciomiesięczny pawian nie mógł wydążyć innym, więc schronił się na skałę i wzywał ratunku. Wtedy jeden z największych samców, posłuszny uczuciom obowiązku, wrócił, lekceważąc niebezpieczeństwo, uspokoił młodego i uprowadził go spokojnie, utrzymując nieprzyjaciela w należnym szacunku. W połączeniu z miłością rodzicielską moralność zwierzęca wznosi się i zasługuje na podziw. W Brazylii Spix widział samicę *stentor niger*, która postrzelona zebrała ostatnie siły, by rzucić swe małe na sąsiednie gałęzie, a dopełniwszy tego obowiązku macierzyńskiego, spadła z drzewa i skonała. Podobny czyn, zwykły śród małp, byłby z pewnością ogłoszonym za bohaterski, gdyby go spełniła kobieta.

Ale głównie w społeczeństwach zwierzęcych złożonych, u pszczół i mrówek, jest rozwinięte poczucie obowiązku, dbałość o interes ogółu, zaparcie się siebie itd. Każda mrówka gotowa narazić życie dla ogółu. W ulach pszczół istnieje moralność, zastosowana do potrzeb, bardzo podobna do ludzkiej. Wogóle pszczoły robocze są równie wstrzemięźliwe jak pracowite. Nigdy nie naruszą zapasów zimowych w wosku zamkniętych a z zostawionych na bieżącą potrzebę, każda czerpie tylko taką część, jaka do jej utrzymania niezbędna. Lecz zdarzają się pszczoły niemoralne—złodziejki, wpadające nagle do ulów dla zadowolenia swego obżarstwa. Można nawet dowolnie zdemoralizować pszczołę, karmiąc ją miodem z wódką. Niezadługo rozpija się a jednocześnie zaczyna próżnować i kraść.

W społeczeństwach mrówek, wyższych pod tylu względami od wielu społeczeństw ludzkich, istnieje nawet bodziec, wszechpotężny u człowieka—potrzeba sympatyi, uznania. „Ta sama robotnica—powiada Forel—która dziesięć razy narazi się na utratę życia w gronie towarzyszek, okaże się nadzwyczaj nieśmiałą, unikającą najmniejszego niebezpieczeństwa, ustąpi mrówce o wiele słabszej, gdy się znajdzie sama o dwadzieścia metrów od mrowiska.“

Stada ssących nie dadzą się porównać z rozumną organizacyą społeczeństw mrówczych—więc też i ich moralność jest o wiele niższą. Bezwątpienia można tu i owdzie zauważyć czyny, które byłyby zaszczytne w ludzkości, lecz są to fakty wyjątkowe. Ogólną regułą jest brutalność, prawo mocniejszego. Nieraz też samice *onistitis* (*Hapale*) dopuszczają się dzieciobójstwa. Rozbijają małe o drzewa lub też ugryzają im głowy.

Jak widzieliśmy zwierzęta uspołecznione, pielęgnują niekiedy z pewnym rodzajem współczucia swych starców i kaleki, ale najczęściej opuszczają ich lub wypędzają. Małpy antropomorficzne żyją w małych gromadach, w rodzinach polygamicznych, uległych despotycznej władzy jednego samca, któremu służą i słuchają go, gdy okazał się najsilniejszym. Nadchodzi jednak chwila buntu — młode mordują władcę.

Horda zwierzęca różni się bardzo mało od ludzkiej, jaką spotykamy u najdzikszych okazów naszego gatunku. Widzieliśmy, że zwierzęta mają moralność ludzką, ale jest także zwierzęca u ludzi pierwotnych, albo raczej śród jednych i drugich zdarzają się niekiedy czyny moralne a nawet bohaterskie, ale nie ma moralności ustalonej. Czyny szlachetne są dziełem istot wyjątkowych—jednostek wyższych nad swe otoczenie—w świecie zwierzęcym jak ludzkim bywają przodownicy.

Rozwój moralny ma trzy epoki: zwierzęcą, barbarzyńską i cywilizowaną. W gromadach pierwotnych życie ludzkie posiada najmniejszą wartość, a głównie życie dzieci żyjących lub mających się narodzić i także życie kobiet, starców, wogóle wszystkich istot słabych. Poronienie uważa się jako rzecz bez znaczenia—wszędzie dzieciobójstwo jest rodzajem zabawki.

W całej Melanezyi mordowanie nowonarodzonych a przeważnie dziewcząt jest bardzo rozpowszechnionem i wcale nie potępianem. Prawo użycia i nadużycia ojca nad swem potomstwem nie ulega zaprzeczeniu i wykonywa się często w okrutny sposób. Sturt opowiada, iż pewien australczyk rozbił o kamień głowę swego chorego dziecka i zjadł go po upieczeniu. Podobnie w Ziemi ognistej Byron widział, jak jeden krajowiec roztrzaskał dziecko swe o skałę za przewrócenie kosza z jajami ptaków morskich. Niektóre plemiona Afryki południowej łowią lwy w wielkie łapki z kamieni, a własne dzieci używają bez skrupułu za przynętę.

Na Taïti, gdzie istniała już pewna cywilizacya, sławne bractwo *areoïsów* nakazywało swym członkom dzieciobójstwo jako obowiązek. Gdy która z matek chciała uchronić swe dziecię, wydalano ją ze zgromadzenia i piętnowano przezwiskiem „piastunki dzieci.“ A przecież do stowa-

---

było jej własnością... Ogarniała ją dziwna bezwładność... doznany zawód sparaliżował resztę energii. Na dworze zciemniało już zupełnie. Całe życie miasta skupiło się gdzieś w ogrodach i na przechadzkach; na odległej uliczce pusto, ani żywego ducha, jękliwe głosy szarmanki dolatują zdaleka. Lipska szła jak senna; spoglądała na swój bukiet, zapięła starannie rękawiczki; wzrok jej czepiał się kawałka papieru leżącego na bruku, to jakiejś gałązki wyglądającej po nad parkanem; nogi drżały trochę, parę razy przysłoniła się do muru i szła dalej. Żadnej jaśniejszej myśli, żadnego określonego planu! Na końcu ulicy spostrzegła ławeczkę przed domem.

— Usiądę tu — pomyślała; zrównawszy się z bramą, poszła dalej. Stróż wyjdzie, ofuknie, albo odpędzi.

Przez chwilę myślała nad tem, jacy ci stróże wogóle są brutalni. Ten z ławeczki pewnoby jej nawymyślał. Pies jakiś głodny, skulony, z podźwigniętym ogonem wybiegł z podwórka i, przeciskając się koło muru, otarł się o jej suknię; obejrzała się za nim.

— Jaki chudy pies! szerści niema na grzbiecie! pewno gorącą wodą obleli... może do cudzej kuchni wlazł... Oh, ci ludzie... nic mają wcale litości!

Ona nie uczyniła krzywdy żadnemu zwierzęciu... nigdy! Ale dlaczego teraz przypomniała sobie o tem? Szła dalej już nie myśląc o niczem; ociążałą głowę przechylała z ramienia na ramię, ustami obrywała z bukietu listek po listku, gryzła przez chwilę i zrywała drugi. Była doskonale spokojną, tylko w piersiach kołatało coś dziwnie.

Weszła na ulicę przy której mieszkała. Teraz dopiero ocknęła się w niej świadomość położenia. Trzeba zapłacić w hotelu i wyjechać... dokąd? Nie miała pieniędzy i nic do sprzedania. Ma zegarek... srebrny zegarek męża... ale czyż nie śni?.. może straciła?.. Nie! czuje go pod ręką za stanikiem... Żeby się upewnić, wyciągnęła ostrożnie, przyłożyła do ucha—idzie! Sprzeda go jutro! W sercu bolało dotkliwie, gorąca krew oblała ją od stóp do głowy.

— Ile za niego dadzą? Tak, ile dadzą?— powtarzała machinalnie. Skupiała myśli, oczy rozszerzyły się, nozdrza drgały, była podobną do lalki z za kontuaru. Już widzi swoje okno na trzeciem piętrze, ciemne w całym szeregu oświetlonych. Jak to wysoko! Żeby się stamtąd rzucić na bruk? śmierć na miejscu... lekka śmierć! Można skonać w drodze ze strachu. Zdawało jej się, że już spada, oddech zamarł w piersiach! O nie! Pokręciła głową z bolesnym uśmiechem, a w piersiach kole jeszcze od urojonego strachu. Zmęczona, ledwie wlecze nogami. Stanęła przed hotelem, żeby zebrać resztkę sił nim wejdzie na schody.

Przez szklanne drzwi światło lamp gazowych pada jej na twarz, oświeca całą figurę i różnobarwny bukiet w ręku.

— No, trzeba iść.

Raz jeszcze spojrzała na swoje okno, potem na bruk... wysoko!

Ludzie spadają głową na dół... więc najprzód głowa się roztrzaska. Oh! przycisnęła rękę do oczu i już miała drzwi otwierać...

Rozpędzona dorożka stanęła przed hotelem, wyskoczył z niej p. Leon; w rozpiętym paletocie, kapelusz trochę zsunięty na tył głowy, oczy zaiskrzone; spostrzegłszy Lipską, schwycił za rękę z niebywałą dotąd poufałością.

— Gdzie pani była! — zawołał; przeszedłem ogród, zaglądałem do kilku cukierni... (ścisnął ją mocno za palec). Cóż słychać z domem i ogrodem? Cha! cha! Patrzał jej w oczy impertynencko: czuć od niego było wino i cukiernianą wesołość.

— Niemam już ani domu, ani ogródka— szepnęła jak przez sen.

— Cha! cha! Ja o tem dawno wiedziałem! Ale pocóż tak długo męczyłaś pani ...siebie nadzieją... No, pora skończyć... Obejrzał się: przed hotelem tylko szereg pustych dorożek...

— Dziś nocnym pociągiem wyjeżdżamy... — szepnął do ucha. Chodźmy.

Wyjeżdżając, bogaty pan zapłacił dwa rachunki.

Ostoja.

rzyszenia *areoïsów* należał kwiat arystokracyi—cały *high life* taitski. Podobne fakty są niezliczone — wszystkie kraje i rasy mogą ich dostarczyć.

Ze starcami obchodzą się nie lepiej. Wypędzić daleko niedołężnych lub chorych rodziców i pozwolić im umrzeć w opuszczeniu — jest w Nowej Kaledonii zwyczajem powszechnym. Często nawet grzebią ich żywcem. Rodzice ci uważają to za rzecz naturalną, niegdyś postępowali tak samo ze swemi rodzicami. Niektórzy domagają się śmierci i idą z dobrej woli do grobu, gdzie ich wrzucają silnie uderzywszy pałką. W Viti ten zwyczaj był ogólnym i uświęconym przez religię. Vitijczycy wierzyli, że pozostają w życiu przyszłem takimi, jakimi opuszczają doczesne. Dzieci więc miały sobie za *obowiązek* ostrzedz na czas rodziców i zabijając ich, oddać im ostatnią przysługę. Wzorowi synowie nie zaniedbali tego nigdy. Zapraszali krewnych i znajomych na ucztę pogrzebową, po czem ofiara szła spokojnie do grobu, nad którym, po tkliwem pożegnaniu, synowie dusili ją z całem namaszczeniem. P. Hunt opisuje ceremonię, na którą był zaproszony. Synowie jak zwykle otoczeni orszakiem żałobnym chowali za życia starą matkę, idącą żwawym krokiem na miejsce pogrzebania. Dzieci zapewniały, iż działają pod wpływem najczystszej miłości synowskiej. „Była ich matka — oni — jej dziećmi— powinni ją więc zabić.“

W tych czynach, dla nas tak strasznych, niema nic wyjątkowego. Opuszczanie lub zabijanie starców, chorych, kalek praktykowało się i praktykuje jeszcze w Polinezyi, w obu Amerykach, u eskimosów, kamczadalów i wielu innych ludów.

W społeczeństwach barbarzyńskich, o których mówimy, los kobiet jak i starców nie jest do pozazdroszczenia. W Australii, według Oldfielda, rzadko kiedy umierają śmiercią naturalną. Zwykle zabijają je przed starością i schudnieniem, z obawy, żeby nie stracić dobrego pożywienia. Zresztą, tak mało są cenione za życia i po śmierci, że z całą słusznością można powątpiewać, czy mężczyzna przywiązywał do kobiety większą wagę niż do swego psa — a po śmierci zjadłszy oboje, czy jej bardziej żałował niż jego.

W Viti miał prawo sprzedać żonę, zabić ją, gdy mu się to podobało. Często przywiązywano kobiety do drzewa i bito. Pewien vitijczyk, opowiada Pritchard, pożarł swą żonę, ugotowawszy ją przy ogniu, który na jego rozkaz musiała sama rozpalić. Spełnił to bez gniewu i zemsty, jedynie, aby się odznaczyć — jak Alcybiades ucinając ogon swemu psu. W Ziemi Ognistej podczas głodu duszą stare kobiety dymem z zielonego drzewa i zjadają je bez skrupułu.

Gdy Fitz-Roy pytał fidżan, dlaczego raczej nie zabijają psów, odpowiedzieli z prostotą: „psy łapią wydry.“

Na pobrzeżu afrykańskiem naczelnik plemienia, zabiwszy żonę, najspokojniej rzekł do admirała Langle: Cóż jest w tem złego — była stara, nie mogła już mieć dzieci.“

Zresztą jest aż nadto wiadomem, że w krajach dzikich lub barbarzyńskich los kobiet był zawsze a nawet jest jeszcze mniej więcej opłakanym. Naprzód uważane za zwierzę domowe, potem za niewolnice — wszędzie zaś za rzecz posiadaną. W społeczeństwach pierwotnych cudzołóstwo kobiety uchodzi po prostu za kradzież i jak ona karanem jest śmiercią albo też rozmaitemi mękami. Według Petitota, mąż czerwono-skóry karze często niewierną żonę, odgryzając jej nos. Naturalnie nikomu nawet nie przyjdzie na myśl nietylko karać, ale nawet ganić cudzołóstwa mężczyzny. Odgryźć nos niewiernej żonie jest barbarzyństwem, które większości naszych europejskich mężów wydaje się wstrętnem — lecz zabicie przestępnej jest jeszcze w ich przekonaniu najzupełniej sprawiedliwem, a sędziowie zwykle podzielają to zdanie.

Wreszcie właściwości „obyczajowe“ tak cenne i przynajmniej w teoryi tak surowo przestrzegane śród naszych społeczeństw cywilizowanych, bardzo mało bywają uwzględniane u dzikich. Prawie wszędzie prowadzenie się dziewcząt i kobiet niezamężnych nie podlega żadnej kontroli. W niektórych nawet krajach wspólność jest obowiązującą w obrębie pokolenia.

Gdy nastąpi małżeństwo, to jest gdy kobieta stanie się własnością, cudzołóstwo samowolne jest jej wzbronionem, lecz powinna mu się poddać jeśli tego pan jej i mąż wymaga.

Na Taiti, według opowiadań dawniejszych podróżników, poczucie wstydu nie rozbudziło się jeszcze. Same matki uczyły młode dziewczynki tańczyć rozpustnie.

Co do zboczeń płciowych, tak oburzających dla nas Europejczyków XIX wieku, ale które rozgrzeszało jeszcze sumienie greko-romańskie, nie są one bynajmniej wynikiem zbyt wyrafinowanej cywilizacyi, lecz pozostałością atawistyczną, spadkiem zwierzęcości pierwotnej, panującej dziś jeszcze u ras zacofanych (np. w Nowej Kaledonii). W mitologii polinezyjczyków osobny bóg niemi się opiekował. W starożytnym Meksyku nie zwraca na nie uwagi—i to samo dzieje się w licznych krajach muzułmańskich.

Gdzieniegdzie wszakże powstają pewne zobowiązania moralne, gdyż człowiek jest istotą doskonalącą się i umoralniającą; lecz te zobowiązania są często dziwaczne, a nawet zbrodnicze w oczach oświeconego europejczyka. Takiemi są—w Australii zakaz jedzenia mięsa pewnych ptaków i obowiązek pomszczenia każdej śmierci nawet naturalnej. Wogóle jednak czynami szkodliwymi dla jednostek nie zajmuje się zupełnie gromada. Każdy się broni i mści jak może. Często wszakże honor obowiązuje do zemsty.

Zresztą ciągły stan wojenny utrzymuje a nawet podnieca wrodzoną dzikość. Odwaga wojenna jest szanowana, obowiązująca a objawia się okrucieństwami. Przeciwko nieprzyjacielowi—to jest przeciwko członkowi sąsiedniego plemienia, wszystko jest dozwolonem. W Nowej Zelandyi rąbano na kawałki i zjadano na polu bitwy pokonanego nieprzyjaciela.

(D. n.).

Z NIEMIEC.

Heilderberg, maj 1885.

Rok bez maja. — Profesor Schenkel i przysłowie: dziś mnie, jutro tobie. — Koncerty zjazdu muzycznego w Karlsruhe. — Także zjazd w Antwerpii. — Odczyt wstępny profesora Leger. — Opis Szląska. — Przysłowia cieszyńskie dr. Cinciały. — Dr. Karpeles o pani Orzeszkowej. — Dzieło ks. Likowskiego. — Ostrzeżenie.

Nazwisko miesiąca wypisuje się tu tylko dla porządku, tak jak w podręcznikach historyi nowożytnej nie opuszcza się imion Ludwika XVII, albo Napoleona II, istnieli oni, ale nie panowali; i maj tegoroczny istniał, ale nie był majem: zamiast niego mieliśmy jakiś jego surogat, wyglądający raczej na listopad, albo luty. Dowiedzieliśmy się wprawdzie, dla czego tak się stało: meteorologowie zawiadomili nas, że niesłychane góry lodów, płynące oceanem, zionęły na nas masą deszczów i chłodu; niektórym nawet zrobiło się zaraz trochę cieplej, gdy odkryli dla czego marzną: leży to podobno w naturze ludzkiej, iż kiedy się co zgubi, to nie tak się żałuje rzeczy straconej, gdy się przypomni, jak, gdzie i kiedy się ją straciło...

Najważniejszym wypadkiem miejscowym ubiegającego miesiąca jest śmierć głośnego tutaj profesora teologii Daniela Schenkla. Przeszedłbym od niej do porządku dziennego, gdyby nie ta okoliczność, że osoba zmarłego typową poniekąd była wśród teologów protestanckich w Niemczech: na jej losach widzieć można bezskuteczność stanowiska półśrodkowego, a takiem właśnie jest i protestantyzm niemiecki wogóle, i uczeni jego przedstawiciele i obrońcy w szczególności. Być może, iż w życiu praktycznem droga średnia najpewniejszym jest gościńcem; ale w świecie teoryi i nauki prowadzi ona zawsze do gorzkich zawodów i upokorzeń; wędrującemu nią dostają się niemiłosierne razy z przodu od postępowców, z tyłu od zacofańców; idzie się po niej długo i mozolnie, a po długiem życiu złożonem z kompromisów, nieszczerości, przemilczeń i wahań, wieczorem dobiega się tam... skąd się z rana wyszło.

Taką drogą „roztropnego węża“ szedł nasz Schenkel. Wziął z sobą spory zapas nauki i wytrwania; natura nie poskąpiła mu zdolności i wymowy. W roku 1854, mając lat około czterdziestu, syn pięknej Szwajcaryi zajmował już w Heidelbergu stanowisko profesora zwyczajnego, dyrektora seminaryum i kaznodziei uniwersyteckiego. Zdarzyło się, że około tego czasu młody naówczas filozof, Kuno Fischer, został docentem tejże wszechnicy. Wyznawca panteizmu, obdarzony niezwykłą wymową, głęboki i wytworny zarazem pisarz, ściągać począł ogromną ilość słuchaczów. W roku wyżej wymienionym przyszło do zajścia pomiędzy teologią a filozofią. Były to chwile powszechnej reakcyi po burzach lat 1848 i 1849. Nieprawomyślność ściągała na siebie podejrzenia i prześladowania. Schenklowi zaczął być solą w oku młody docent, który się ważył nie tak pojmować świat, jak stało w drukowanem wyznaniu wiary, przejrzanem i zatwierdzonem przez *Oberkirchenrath* w Karlsruhe i przez wysokie krajowe ministerstwo wyznań. To też w rozmowie z pewnym wpływowym członkiem rady kościelnej wynurzył nasz teolog swoje obawy co do szkodliwości kierunku panteistycznego wykładów Fischera. Denuncyacya okazała się trafnie i w czas wymierzoną: Fischerowi odjęto „Veniam legendi,“ czyli mówiąc po prostu, zatknięto usta i pozwolono umrzeć z głodu i oburzenia. Opinia publiczna wzięła stronę prześladowanego. Schenkel ogłosił rodzaj paszkwilu bezimiennego na Fischera w wydawanej przez siebie gazecie kościelnej w Darmsztacie, powołując się nie tylko na wykłady, ale na świeżo wówczas wydany tom pierwszy słynnej historyi filozofii nowożytnej K. Fischera; zawiązała się polemika; napastowany odpowiedział dwiema broszurami, w których zdemaskował anonim Schenkla, wykazał nikczemność jego denuncyacyi i całą bezpodstawność napaści. Uczynił to z takim talentem, a prawda i sprawiedliwość tak za nim przemawiały, że Schenkel okrył się wstydem publicznym. We dwa lata potem Fischera powołano na profesora do Jeny, a książe saski poruczył mu wychowanie następcy tronu, syna swojego. W lat kilkadziesiąt później, ofiara intryg Schenkla wróciła do Heidelberga z tryumfem. Piękne wykłady dziejów filozofii ściągały i do tej chwili gromadzą po kilkuset słuchaczy; Schenkel miewał około dwudziestu uczniów i to przeważnie przymusowych, z szeregu teologów dążących do probostw.

Ale nie dość na tem upokorzeniu. Stało się wedle przysłowia: nosił wilk, ponieśli wilka. Schenkel bądź co bądź zacofanym teologiem nie był; zresztą po pracach Baura, Straussa i Bauera nad początkami chrześciaństwa, trudnoby było teologowi

protestanckiemu grać na lutni apologietyki staroświeckiej. Wierny tedy swej ciepłowodnej naturze, wystąpił i on ze swoim *Das Charakterbild Jesu*, pracą eklektyczną, rodzaju nijakiego, przyznającą jedne, zaprzeczającą inne cuda, pośrednią pomiędzy radykalizmem Straussa a racyonalizmem Paulusa. Otóż dwulicowe to stanowisko ściągnęło nań całą burzę okrzyków. Prawomyślni obwiniali go o bezbożność, liberalni o wstecznictwo; Schenkel odpowiadał niejednokrotnie, bronił się; stanowisko jego profesorskie i kaznodziejskie było zachwiane; denuncyowano go na wszystkie strony, wyrzucano mu zmienność w przekonaniach... słowem przebył na starość tę samą drabinę upokorzeń i niepokojów, po jakiej niegdyś zmusił przejść Fischera.

Mimo woli nasuwa się tu wspomnienie Spinozy. Przeszło dwieście lat temu, kalwińsko usposobiony władca Palatynatu wzywał sławnego naówczas panteistę do Heidelbergu, zapewniając mu bezwarunkową swobodę nauczania. Ale cichy zbieg portugalski wolał powny kąt w Holandyi niż wawrzyny nadreńskie; przewidując zapewne, że mu tacy Schenkle życie zatrują w Heidelbergu, grzecznie się od zaszczytu wymówił.

Nie chcę jednak słowami powyższemi ubliżać zasługom naukowym Schenkla. Oprócz ogłoszenia wielu pism teologicznych, kierował on przez lat dwanaście czasopismem *Allgemeine kirchliche Zeitschrift* (1860—72) i ogłosił obszerną encyklopedyę teologiczną (*Bibellexicon*, 5 tomów); oba te wydawnictwa wcale do wstecznych nie należą, a umiarkowanie krytycznemi nazywają się na miarę teologiczną protestancką; u nas, ma się rozumieć, zajmowałyby stanowisko najskrajniej lewe.

Tak tedy załatwiwszy mały rachuneczek filozofii ze zgasłym jej przeciwnikiem, widzę, że u żyjących ma ona więcej powodzenia, o tyle przynajmniej, o ile Schopenhauer i jego zwolennicy w muzyce upatrują przyszły żywioł, mający łączyć i bratać ludzi, a zastąpić instytucye kościelne. Muzyką tchną całe Niemcy w tej chwili. Ogromne doroczne uroczystości stowarzyszenia nadreńskiego w Akwizgranie, nie mniejsze festyny w Gotha i 22-gi zjazd muzyków w Karlsruhe—wszystko to prawie jednocześnie się odbywa, witając uśmiechniętą nareszcie kwieciem i ciepłem wiosnę. Nie mogąc oczywiście być na wszystkich ucztach duchowych, wybrałem najbliższą, w Karlsruhe i kilka słów o niej napiszę.

Koncerty zjazdu muzyków, urządzane corocznie przez „powszechne towarzystwo muzyczne niemieckie" (Allgemeiner Deutscher Musikverein) od roku 1859, odznaczają się tą piękną stroną, że mimo swój tytuł, starają się być kosmopolitycznymi co do wyboru tak utworów jak i artystów. Jakoż i w tym roku, oprócz kilkudziesięciu nazwisk niemieckich, spotykamy w szeregu autorów dzieł wykonywanych i wirtuozów znane i nieznane imiona cudzoziemców: Berlioz, Cui, Borodin, Sgambati, Templeton-Strong, Smetana, Schytte; drugi z porządku jest francuzem z pochodzenia, urodzonym w Wilnie, zamieszkałym w Petersburgu; trzeci rosyaninem, czwarty rzymianinem, piąty amerykaninem, szósty czechem, ostatni duńczykiem; artystów oczekiwano z zagranicy kilku; przybyła tylko pani Montigny-Remaury, fortepianistka z Paryża.

W ciągu ostatnich czterech dni maja odbyło się sześć wielkich koncertów, na których, pomiędzy wielu innymi, występowali: znany skrzypek Auer z Petersburga, młodziutki a odznaczający się fortepianista Friedheim, z tegoż miasta, zasłużeni drezdeńczycy Lauterbach, skrzypek i Grützmacher, wiolonczelista, wspomniana już pianistka z Paryża i Scharwenka z Berlina. Strona wokalna jaśniała gwiazdami drugiej tylko i trzeciej wielkości; za to zgodne i wyćwiczone chóry, złożone z sześciuset przeszło osób, oraz potężna i wyborne kierowana przez Mottla orkiestra raczyły uszy niezwykłemi rozkoszami. Wykonano ze dwadzieścia dzieł wielkich rozmiarów, w tej liczbie *Requiem* Berlioza, *Dantego* i *Prometeusza* Liszta, *Weltawę* Smetany. Sędziwy Liszt nie opuścił żadnego koncertu; publiczność hucznymi oklaskami przyjmowała każdy jego utwór. *Weltawę* Smetany słyszałem po raz pierwszy; przemówiła ona do słowiańskiego serca mojego pokrewnymi tony: brzmiała tam i rzewna, przeciągła pieśń nieogarnionych okiem pól naszych i skoczna nuta wieśniaków czeskich, tak bliska naszego żwawego krakowiaka. Utwór to prosty, niepretensyonalny, ale bardzo ładnie instrumentowany i oryginalny. Opuściłem Karlsruhe z nadzieją, że na przyszłorocznym zjeździe, podobno w Dessau, uda się nam dać usłyszeć parę większych utworów Moniuszki.

Wiodzą już czytelnicy o otwarciu wystawy w Antwerpii; dodaję mniej znany szczegół, że w pierwszych dniach sierpnia odbędzie się tam także powszechny zjazd muzyków, w celu wzajemnego porozumienia się w sprawach pedagogiki, techniki i teoretycznej strony muzyki.

Z nowin literackich i naukowych, o ile one obchodzić mogą czytelnika, rozmarzonego wiosną, wsią i projektowanemi wycieczkami, udzielam kilka wybitniejszych. Profesor Leger rozpoczął wykłady swe z katedry, zajmowanej niegdyś przez Mickiewicza i Chodźkę; odczyt pierwszy znacie już z przekładu, podanego przez jeden z tygodników warszawskich; z przyjemnością odczytujemy w nim zapewnienie bezstronnego traktowania *wszystkich* piśmiennictw słowiańskich; słowa te, przybywając z niełaskawie dla nas ostatnimi czasy usposobionej Francyi i z ust uczonego, podejrzewanego nieraz o niechęć dla nas, przyjemnie w uszach naszych się odbijają. Wszak nie żądamy żadnych faworów, prosimy tylko o sprawiedliwość i prawdę, *rien que la vérité*, jak mówi świadek przed sądem francuskim. Godną też uwagi w odczycie Legera jest siarczysta apostrofa w imieniu słowian do niemców, powtórzona za Renanem; obyż nie przebrzmiała bez echa u tych, którzy srogiemi poskrypcyami nękają nas dzisiaj, zapominając niebacznie, że takie krzywdy, zadawane bezbronnym, zapisują się na dnie serca i że „dziś mnie, jutro tobie..."

Piękny Szlązk, cząstkę zmarnowanego dziedzictwa naszego, postanowił odmalować piórem, rylcem i ołówkiem dr. F. Schroller, p. n. *Schlesien, Land und Leute*, przy pomocy rysownika p. Blätterbauera (Głogów, u Flemminga). Ogłoszone dotychczas dwa pierwsze zeszyty odznaczające się zajmująco napisanym tekstem, pięknymi drzeworytami i ślicznymi sztychami; obejmują Szląsk austryacki. Są one wstępem do obszernego dzieła, które, jak się zdaje, wyczerpującą będzie kompilacyą. Przy tej sposobności godzi się wspomnieć o nader ciekawym dla ludoznawców i lingwistów zbiorku przysłów polskich z księstwa cieszyńskiego, świeżo ogłoszonym przez dr. A. Cinciałę (Cieszyn, u Feitzingera, 1885); obejmuje on bez mała tysiąc przysłów, w znacznej części dotąd nieznanych; niektóre z nich tak są dosadne i jędrne, a czasem tak jowialne, jak tylko tego rodzaju rozum i dowcip samorodny bywać mogą. Pan Cinciała prawdziwą usługę oddał piśmiennictwu, ogłaszając nie bez długiego trudu zgromadzoną tę wiązankę, tem piękniejszą, że dochód z niej przeznaczył na czytelnię ludową i dom narodowy w Cieszynie.

Dr. Karpeles, często przemawiający o literaturze naszej do niemców, a przemawiający zwykle tonem bezstronnego i świadomego znawcy, skreślił niedawno w tygodniku Gegenwart (Nr. 19) portret literacki pani Orzeszkowej, p. n. „Polska George Sand;" głównym powodem napisania tego udatnego studyum jest niedawno wydrukowany przekład niemiecki Meira Ezofowicza, który wszystkich sprawozdawców niemieckich pobudza do zasłużonych pochwał szlachetnej dążności i kunsztownego jej wcielenia w dramat opowiedziany przez naszą rodaczkę.

Uwieńczone przed kilku laty nagrodą towarzystwa literackiego w Paryżu, dzieje kościoła unickiego w Polsce księdza prałata Likowskiego wychodzą obecnie w Poznaniu w przekładzie niemieckim; ukazał się dotąd tom pierwszy.

Na zakończenie pozwalam sobie, na żądanie młodych rodaków, pracujących na uniwersytecie tutejszym, zamieścić słówko ostrzeżenia dla tych, którzy dziś jeszcze zostają pod wpływem dawnego pojęcia o łatwości udzielania stopni naukowych na wszechnicy heidelberskiej. Lat temu kilkadziesiąt rzeczywiście istniała owa stosunkowa łatwość, chociaż nie w takim stopniu, jak o tem niegdyś głoszono; ale od dwóch dziesiątków lat „piękne dni w Aranjuez minęły..." i uniwersytet tutejszy wcale na seryo bierze udzielane przez siebie dyplomy doktorskie. Egzamina są tutaj stosunkowo surowe, jak o tem świadczy spora ilość tak zwanych kandydatów *przepadłych*, których bywa mniej więcej dwóch na jednego szczęśliwszego. Pospieszam dodać, że dotychczas rodacy nasi przeważnie do tej drugiej kategoryi należeli.

Jan Karłowicz.

Z FRANCYI.

Paryż, 7 czerwca.

Echa pogrzebu Wiktora Hugo. — Spokój nie został naruszony. — Sekularyzacya Panteonu i protesty. — Projekty przyozdobienia tego gmachu.— Testament.— Pomnik. — Alfons de Neuville.

W życiu paryskiem odbijają się jeszcze echa pogrzebu Wiktora Hugo. Paryż istotnie nie widział dotąd tak wspaniałego hołdu, oddanego śmiertelnym szczątkom wielkiego człowieka i nie prędko zapewne zobaczy znowu. Pogrzeby Thiersa i Gambetty nie były ani w połowie tak świetne. Za trumną wielkiego trybuna trzeciej Rzeczypospolitej szły także tłumy, niesiono również wieńców bez liku — nastrój jednak publiczności był inny. Chowano wtedy przedwcześnie zmarłego działacza, po którym wiele się jeszcze spodziewano i dlatego orszak, towarzyszący jego zwłokom, był smutny. Inny nastrój przeważał na pogrzebie wielkiego romantyka, który głębokiej dożył starości i wypowiedział się do końca. To była apoteoza, pochód tryumfalny z pod arkady wspaniałego Łuku do Panteonu. W rzeszy też postępującej za karawanem częściej rozlegały się tony Marsylianki niż marszów żałobnych a tłumy zgromadzone po obu stronach drogi, przez którą przechodził korowód, witały gorącymi oklaskami i głośnymi okrzykami sympatyczne deputacye z wiankami, biorące udział w tej narodowej uroczystości.

Zachodziła obawa, że pogrzeb odbędzie się niezupełnie spokojnie. W ciągu tygodnia, który upłynął od zgonu poety do jego pogrzebu, zaszły fakty, które obawy te usprawiedliwiały. Na cmentarzu Père-Lachaise wynikło krwawe starcie między policyą a tymi, którzy przynieśli wieńce na mogiły ofiar „krwawego tygodnia." Powodem do zatargu były czerwone chorągwie, z któremi przyszły niektóre robotnicze stowarzyszenia. Policya usiłowała je skonfiskować. Starcie to wywarło wielkie wrażenie w Paryżu; władze zawahały się w swej nietolerancyi dla czerwonej

barwy i na pogrzebach dwóch członków Komuny, posła Lamouroux i Courneta, które się dni następnych odbyły, czerwone sztandary powiewały swobodnie. Skrajna lewica wystąpiła przytem w Izbie z interpelacyą do gabinetu w sprawie zajścia na cmentarzu. Lacroix w energicznej mowie żądał od gabinetu wyparcia się solidarności z policyą i ukarania winnych. Ze strony oportunistów pomawiano ministra spraw wewnętrznych o rażącą niekonsekwencyę — pozwalano bowiem w poniedziałek na to, za co bito w niedzielę. P. Allain-Targé bronił się, jak mógł, chwaląc postępowanie policyi w pierwszym wypadku, był jednak w wielkich opałach, tak, że po skończeniu rozpraw zemdlał na mównicy a przeniesiony do domu położył się do łóżka. Przewidywano, że będzie zmuszony podać się do dymisyi — uratowało go jednak energiczne wystąpienie w obronie porządku i trójkolorowego sztandaru, za co oportunistyczna większość obdarzyła jego i cały „radykalny gabinet“ wotum zaufania. Wniosek skrajnej lewicy upadł. W toku rozpraw nad interpelacyą minister oświadczył, że wniesie niebawem projekt do prawa, który zabroni we Francyi z wyjątkiem zagranicznych, wszystkich innych sztandarów prócz trójkolorowego. Tymczasem w braku takiego prawa, wyszło rozporządzenie odmawiające udziału w pogrzebie Wiktora Hugo czerwonym chorągwiom. Na podstawie tego rozporządzenia skonfiskowano przy Łuku tryumfalnym 18 znaków, będących godłami stowarzyszeń, przybyłych dla wzięcia udziału w pogrzebie. Konfiskata odbyła się jednak bez czynnego oporu i porządek nie został naruszony...

Wielką natomiast stanowczość okazał gabinet, przywracając zwykłym dekretem, podpisanym przez prezydenta Respubliki, świecki charakter Panteonowi. Postanowiono tak na tej zasadzie, że dwa napoleonowskie dekrety (z r. 1806 i 1852), oddające Panteon duchowieństwu znosiły uchwały Izb prawodawczych, nadające przybytkowi temu przeznaczenie świeckie. Trzeba przytem dodać, że Konstytuanta w r. 1791, ustanawiając Panteon, nie zabrała żadnego kościoła, lecz obróciła na ten cel budynek, który lubo pierwotnie ofiarowano na kościółśw. Genowefy, wówczas jednak ani wykończony, ani poświęcony nie był. Obecnie Panteon nie był kościołem parafialnym, lecz kaplicą, obsługiwaną przez kilku kapelanów; odwiedzany był zresztą raczej przez ciekawych niż wiernych i zachowywał podwójny charakter Panteonu i kościoła; świecił nawet nad frontonem napis, położony w r. 1848: *Aux grands hommes la patrie reconnaissante.* Wewnątrz podziwiano więcej napół świeckie freski mistrzów współczesnych, niż modlono się. Mimo to wszystko duchowieństwo, poparte przez prasę klerykalną wystąpiło z pretensyą przeciwko temu zaborowi. Arcybiskup Paryża napisał pod adresem rządu długie napomnienie, na co odpowiedział minister oświaty, sztuk pięknych i wyznań Goblet krótko i stanowczo. Po tej odprawie arcybiskup rozesłał okólnik do proboszczów, w którym na dzień dzisiejszy polecił w całej dyecezyi nabożeństwa na przebłaganie zniewagi wyrządzonej św. Genowefie. Poseł — biskup Freppel ogłosił także list, w którym dowodzi nielegalności przedsięwziętej przez rząd sekularyzacyi.

Na porządku dziennym jest obecnie kwestya odpowiedniego przyozdobienia Panteonu. Dotąd, po przeniesieniu sakramentów, zdjęto przed uroczystością pogrzebową krzyż, który wznosił się nad portykiem frontowym — pozostał jeszcze drugi na kopule środkowej — nie jednak zgoła dla przystosowania gmachu do nowego a raczej odnowionego celu nie uczyniono. W radzie miejskiej podniesiono myśl przyozdobienia wewnątrz Panteonu szeregiem płócien, które w r. 1848, ówczesny minister spraw wewnętrznych Ledru-Rollin zamówił u Chenevarda i które zostały następnie wykonane. Obrazami tymi przyozdobiono później Szkołę sztuk pięknych. Przedstawiają one jeden cykl dziejów ludzkości, od stworzenia świata do pierwszej Rewolucyi francuskiej... Nie wiadomo jeszcze, czy projekt ten się utrzyma. Uchwały, zresztą, zapadające w radzie miejskiej Paryża przyjmowane są w gronach umiarkowanych z niedowierzaniem. Dość powiedzieć, że rada ta postanowiła na jednem z ostatnich swych posiedzeń zakupić od pewnego prywatnego posiadacza głośny obraz Dawida *Śmierć Marata* i ma go zawiesić w sali obrad. W motywach przytem powiedziano wyraźnie, że rada chce aktem tym dać satysfakcyę „Przyjacielowi ludu,“ którego ostatnimi czasy niejednokrotnie spotwarzano.

Musimy tu zaznaczyć za dziennikami paryskimi, że podawana przez nie treść testamentu Wiktora Hugo, z licznymi zapisami, obecnie odwołaną została, w testamencie bowiem przechowanym u notaryusza nic podobnego nie znaleziono. Według tej woli ostatniej majątek zmarłego poety przechodzi na prawnych spadkobierców; znajdują się w niej również rozporządzenia i upoważnienia co do pozostałych a niewydanych rękopisów. Podobno złożą one z dziesięć tomów utworów dotąd nieznanych. Trzy tomy ma być zupełnie do druku przygotowane, resztę zaś trzeba będzie dopiero złożyć z ułamków. Prócz tego wydaną ma być korespondencya Wiktora Hugo. Masa spadkowa została opieczętowaną. Po zdjęciu pieczęci dowiemy się może czegoś więcej.

Zaraz po zgonie poety postanowiono wystawić mu pomnik w Paryżu. Osobny komitet zajmuje się tem już energicznie. Zbierają się składki, a merowie Paryża odbyli umyślnie w tym celu naradę, na której sprawę pomnika uchwalili popierać gorliwie.

Cień wielkiego mocarza pióra zasłonił przed nami śmierć mniej głośnego pracownika pędzla, którego pogrzeb odbył się w dzień zgonu poety. Mówimy o znanym malarzu francuskim Alfonsie de Neuville. Wsławił się on obrazami, czerpanymi wyłącznie z wojny 1870—71. Za zadanie swego życia położył sobie zilustrować tę walkę i wryć ją głęboko w pamięć społeczeństwa. Nie był jednakże malarzem batalijnym dawnego pokroju. Zamiast stopionego w jedną masę wojska, posłusznego komendzie dowódcy lub wojennemu zapałowi, malował pojedyncze tylko sceny, epizody, w których zarówno indywidualność narysowanych postaci jak i charakter wydarzenia zaznaczały się wybitnie. W utworach tych Neuville nie wznosił się ani do grotgerowskich, ani do wereszczaginowskich szczytów, umiał jednak natchnąć je gorącą tendencyą patryotyczną. Do najbardziej znanych jego prac należy popularny obraz p. t. *Ostatni ładunek*.

P.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Fragmenty dramatyczne: St. M. Rzętkowski. **Z chwili szału.** Michał Wołowski— **Trefniś i lutnista.** Warszawa.

Trzeba być bardzo naiwnym żeby wierzyć, iż te wszystkie fragmenty, urywki itp. które zjawiają się w druku, należały kiedykolwiek do jakiej większej całości, któraby istniała bodaj w myśli autora. W formie tej przejawia się zwykle twórczość rozluźniona, nieopanowana przez rozmyślanie, nie posiadająca sama w sobie dość siły, ażeby skrystalizować się w artystycznie skończoną całość. Jako utwór oddzielny fragment posiada swoją racyę bytu wtedy, jeżeli autor pragnie wypowiedzieć jakąś myśl niezwykłą i głęboką, jeżeli uczucie jego porusza jakiś fakt, wiążący się z całym szeregiem innych, do ujęcia których w całości nie posiada odpowiednich danych. Weźmy przykład. Młodego poetę najbardziej porusza i oburza prześladowanie swobodnej myśli, a ze wszystkich męczenników prawdy najsympatyczniejszym dlań jest Sokrates. Autor zna dobrze podstawy jego filozofii, czytał odnośne dyalogi Platona, ale nie posiada znajomości wewnętrznego życia ówczesnej Grecyi. Dramatu więc, który się, bądź co bądź, z warunkami rzeczywistości liczyć musi, nie napisze ale może jednak w wspaniałej scenie odtworzyć przedśmiertną rozmowę mędrca z uczniami i chwilę jego zgonu.

P. Rzętkowski pozornie znajdował się w podobnem położeniu, pisząc swój fragment. Wprowadza on na scenę wielkiego artystę—Rafaela, ale w zwyczajnej chwili karnawałowej zabawy. W dodatku ponieważ sam autor nie ma do powiedzenia nic oryginalnego, więc też i bohater fragmentu odzywa się jedynie komunałami. W pierwszej scenie występuje grono kłótliwych urwisów z ludu, którzy mają być wesołymi i dowcipnymi, a są tylko płaskimi; otacza ich tłum, skrupulatnie zachowujący przepisy policyjne, bo z ust jego nie wyrywa się żadne głośniejsze słówko. Na zmianę wychodzi inne grono urwisów z wyższych sfer, na czele którego znajduje się Rafael. Tłum zawoławszy: Evviva! Viva! rozstępuje się z uszanowaniem, urwisy z ludu usuwają się na bok i rozmawiają po cichu. Rafael kłania się grzecznie i wykłada prelekcyę o podstawach piękna i tajemnicy sztuki, prelekcyę tak lichą, że powstydzili by się jej p. Matuszewski lub Martynowski, bo nawet żaden z nich nie wygłosił by takiego zdania, że Michał Anioł „pioruny zaklina w akordy.“ Towarzysze mistrza rozprawiają i śpiewają piosenkę, autor każe nam wierzyć, że te manekiny są to wesołe chłopcy, takiego samego mniemania są owe osoby z ludu, czemu zresztą nie dziwię się, są bowiem osobiście zainteresowane, żeby cała scena robiła wrażenie wesołej. Karczmarz, przebrany za mędrca, ukazuje się na wozie i przemawia ironicznie, chociaż za długo; nie jest to jednak jego winą, musiał on przecie dać czas Rafaelowi do spotkania się z piękną panienką i sprowadzenia jej na scenę. Karny i wyrobiony, na wzór meiningeńczyków, tłum delikatnie usuwa się, ażeby nie przeszkadzać słodkiemu gruchaniu. Bianca, która przybyła z prowincyi na karnawał, układa się tak naiwnie, jak to chyba potrafią tylko panny Czaki i Wisnowska, hulaszczy artysta namawia ją na kolacyjkę, niewinna gąska robi pewne trudności, wreszcie Rafael chwyta ją w objęcia i całuje, rozumie się, zdjąwszy poprzednio maskę. Bianca mdleje, ale stan ten trwa bardzo krótko, tyle tylko, żeby w duszy artysty zbudzić się mogły wyrzuty sumienia. Rzeczywiście pocałunek jego był okropny, Biance zdawało się, że to:

> Coś niby burza, błyskawice, gromy
> Dach mego domu trzeszczał (!) mi nad głową
> Jakby miał runąć, ściany drżały, a okna
> Dzwoniły!

Ponieważ nie mam szczęścia być panną, nie wiem, o ile ten opis wrażenia, jakie wywiera pierwszy pocałunek—zgodny jest z prawdą ale z tego faktu, że po pierwszym następuje zwykle drugi, trzeci itd., wnioskuję że wzruszenie musi być chyba nieco odmienne.

Ale powróćmy do czułej pary. Bianca rozmarzona fantazyuje bardzo poetycznie,

Rafael przeprasza ją, ta dziwi się, czy też udaje zadziwioną, i jako osoba dobrze wychowana, owszem dziękuje grzecznemu kawalerowi. Tymczasem powracają towarzysze artysty i rubasznie zabierają się do panienki. Rafael gromi ich surowo, odnajduje szczęśliwie wuja i opiekuna młodej osoby, daje mu moralną nauczkę i wyprawia do domu.

Towarzysze nie chcą dać za wygranę, mistrz jednak zapowiada, że to młode dziewczę „musi pozostać aniołem," dodając, że „to mówi artysta, co w duszy czuje szacunek dla piękna" ponieważ zaś Bianca jest najpiękniejszą w swej niewinności, nie należy „zdeptać świętokradzko tego dzieła," „co z rąk Stwórcy wyszło w uroku nietartym a pełnym" (?). Nie przekonane ale oszołomione tym argumentem całe towarzystwo spieszy na... hulankę!

Taki jest fragment p. Rzętkowskiego co do treści. Dodać należy, że przeważa w nim frazeologia sucha, bezbarwna, która nieraz kłóci się z logiką a w kilku miejscach przeniewierza się rytmice. *Chwila szału* nie może nawet iść w porówanie z poprzednimi utworami autora, które także nie były przecie arcydziełami; również w piosenkach bardzo lichych nie poznajemy wcale dosyć zręcznego liryka—Floryana.

Dla czego *Trefniś i lutnista* p. M. Wołowskiego nosi nazwę fragmentu, o tem zapewne niewie dobrze sam autor. Każdy najbardziej skończony w sobie epizod jest rozumie się fragmentem życia, ale ponieważ żaden prawie dramat nie prowadzi bohatera od kolebki aż do mogiły, idzie więc tu o to tylko, czy akcya stanowi zupełną całość, czy nie. W utworze p. Wołowskiego osnowa dramatyczna zaczyna się i kończy, jak należy, nawet tendencya występuje wyraźnie. Tu muszę zaznaczyć, że jakkolwiek obrazek ten przywdział szatę niby to historyczną, z prawdą dziejową niema nic wspólnego. Bona, Stańczyk, Bekwark służą autorowi tylko do wypowiedzenia kilku myśli, któremi pragnie podzielić się z czytelnikiem. P. Wołowski, autor bardzo płodny chociaż niewiele znany, miewa czasem nie złe pomysły, które jednak oprawione w formę z gruba tylko ociosaną, rozwodnione w szczegółach, nastrzępione powszednimi efektami, nie czynią odpowiedniego wrażenia. W najnowszym utworze swym, podobnie jak i w poprzednich, autor potrąca ciągle o tę strunę, która w sercach czytelników polskich najprędzej wywoła oddźwięk, ale że porusza ją ręką niewprawną, że dla wywołania efektu targa nieraz niemiłosiernie, więc też bardzo często brzęczy ona fałszywie. Treścią obrazka dramatycznego jest miłość Bekwarka do Bony. Lutnista włoski przybywa z ojczyzny swej wprost na scenę, spotyka Stańczyka, który gromi go za czułostkowość, na to wchodzi królowa, której Bekwark wyjawia swą miłość. Wzgardliwie odtrąconemu lutniście pęka serce, nie umiera on jednak zaraz; jeszcze z dobry kwadrans wbrew twierdzeniom nauki lekarskiej zostaje na scenie. Dotknięty atakiem anewryzmu Bekwark nietylko rozmawia, ale nawet śpiewa przed śmiercią. Zgwałciwszy w ten sposób medycynę, niewdzięczny jej ex-adept drwi sobie potem z akustyki i każe Stańczykowi na zamku królewskim słyszeć słowa przysięgi Alberta księcia pruskiego składanej na Rynku. Autor zresztą nie robi ceremonij z wymaganiami prawdy dziejowej i artystycznej, jeżeli chodzi mu o wypowiedzenie zasad. Poglądy swe wkłada on zwykle w usta Stańczyka, którego postać pojmuje wręcz fałszywie. Robi on błazna rodowitym szlachcicem, który dlatego tylko został trefnisiem, że nie miał pola dla innej działalności. Za Zygmuntów nie było sposobności do szerszych czynów? Nie! doprawdy, ten trefniś bardzo mi przypomina p. Michała Wołowskiego nawet ze zdań jakie wygłasza. W całym obrazku publicystyka gra bardzo wybitną rolę, ale jest to, że tak powiem, publicystyka uczucia, nie sformułowana ściśle a do tego wtłoczona w formę luźną, rozpraszającą się w szczegółach, niepotrzebnie przybraną w kostyum historyczny. Są tu wreszcie osoby zgoła zbyteczne jak ów niemiec, który po to tylko wchodzi na scenę, żeby być złajanym niewiadomo za co, przez Stańczyka, albo Barbara Śnieżanka, która kilka razy, również niewiadomo dlaczego, przynosi lilie. P. Wołowski w utworze swoim chciał wypowiedzieć za wiele, nie zdołał więc ani uporządkować myśli, ani wcielić ich w wydatne kształty—w skutek czego wypowiedział się bardzo niejasno. Nie przemówi również obrazek jego do czytelnika wdziękiem formy, bo jakkolwiek jest ona bardziej staranną, aniżeli w innych pracach tego autora, ale na trefnisia posiada on za mało dowcipu a na lutnistę talentu; ani więc sarkazm jego ani patos nie wywołują wielkiego wrażenia.

Wiat.

TEATR.

Pół miliona, komedya w 5-ciu aktach, Wł. Sabowskiego.

Gdy romantyka rozbujała się we Francyi, w dziedzinie dramatu stworzyli przeciw niej reakcyę Delavigne i Ponsard, który dał początek nowej odmianie komedyi sławną swoją sztuką *Honor i pieniądze*. Wbrew kunsztowności i efektom maniery Scribego, wrócił on do wzorów klasycznych, nadał komedyi ton spokojny, budowę prawidłową i prostą, prowadził dykcyę w potoczystych aleksandrynach, moralizował albo deklamował pięknie, gładko a przystojnie. Była to prawdziwa komedya akademicka, która w czasie przewagi mieszczańskich gustów miała duże powodzenie. W tym stylu stworzył także Augier swą *Gabryelę*, nie mówiąc o innych drugorzędnych pisarzach zasilających przez pewien czas repertuar francuski szeregiem takich *porządnych* komedyj. U nas naśladował ten rodzaj Chęciński, gdy w *Porządnych ludziach* chłostał zdawkową szarość i obłudę obyczajową, naśladował go Szymanowski w premiowanej komedyi *Dzieje serca* — tą samą drogą poszedł wreszcie p. Sabowski w przedstawionej świeżo komedyi *Pół miliona*, napisanej przed kilkunastu laty. Jestto prawdziwy wzór przyzwoitej sztuki, napisanej ze starannością literacką, odzianej w wiersze gładkie i potoczyste, spokojne, tchnące atmosferą zdrowego rozsądku, z domieszką pewnej dozy łagodnego sceptycyzmu. Przedmiotem jej jest zwykła antyteza miłości i posagu, serca i rachuby przy kojarzeniu się małżeństw. Wacław Ożywski, właściciel pół milionowej fortuny, jest celem zabiegów różnych mam, ojczulków i panien, któreby pragnęły uwikłać go w pęta hymenu. Główne sidła zastawia nań Zofia Warska, panna „kuta," wyrachowana, której serce bije gorąco dla cyfr z pięcioma lub sześcioma zerami. Wacław, dobry chłopak, ale trochę chorągiewka, kochał się niegdyś w jej kuzynce Jadwidze, którą niesłusznie posądził o interesowność i... zrejterował. Łatwowierny i miękki jak ciasto byłby wpadł w łapki panny Warskiej, która gra przed nim zręcznie komedyę bezinteresowności, ale uratował go Karol, przyjaciel sceptycznie usposobiony wobec kobiet, który odgadł, że bogdanka Wacława „nie jest słońcem lecz... łojową świecą." Jest to dobrze skreślona postać; pannica wychowana przez próżną mamę, jedna z tych bezdusznych lalek, dla których jedynym celem życia jest pieniądz, zbytek i stroje. Serce jej podobne do wagi, która się przechyla na tę stronę, gdzie padnie... więcej dziesiątek lub setek tysięcy rubli. Przenikliwy Karol poznał się na tej lafiryndzie i niechce, aby Wacław uplątał się w sidła jej kokieteryi. Podsuwa jej tedy jąkającego się idyotę z milionem i hrabiowską koroną. Panna Zofia byłaby chwyciła przynętę, ale sprytna jak lis domyśliła się pułapki; przeczuwając, że nasłany konkurent łatwo by zrejterował. Pomaga jednak drugi środek: depesza o mniemanem bankructwie Wacława, któremu Zofia daje odprawę, chociaż przed chwilą niby z zachwytem słuchała jego przysiąg na klęczkach. Oddaje potem rękę dawniejszemu konkurentowi Artiurowi Olskiemu, dystyngowanemu mazgajowi, który oddawna wzdychał do nieczułego bóstwa. Tymczasem wydaje się, że bankructwo Wacława jest farsą, z czego korzysta dawna narzeczona, dzięki przenikliwości Karola, który potrafił się poznać na jej złotem sercu i odwrócić sentymenty swego kochliwego przyjaciela.

Treść ta nie wyszukana i dość szara, prowadzoną jest prosto, i spokojnie. Sytuacye rozwijają się bez sztucznej plątaniny, wiersz płynie gładko, wszystkie figury gadają dużo i ładnie. Oprócz Zofii dobrą postacią jest jąkający się hrabicz, zidjociały w opiece pięciu cioć, po których ma odziedziczyć miliony. Trochę barwy ma Karol, dzięki swej ironicznej werwie, Jadwiga, Artur i Wacław są to postacie ulepione z frazeologicznej papki. Udało się autorowi kilka figur epizodycznych, dwie mamy i dwu ojczulków czyhających na posagi, których spotkanie w akcie pierwszym w numerze łowionego konkurenta jest szczerze zabawne. Całość nie uderza świetnością pomysłów, ale posiada dość dystynkcyi, głaszcze ucho szeregiem dobrych rymów, ma w szczegółach trochę subtelnej finezyi.

Bez wątpienia sztuka ta nieco banalna i już wczorajsza, ale w porównaniu z podobnymi do niej płodami poezyi *du juste milieu* dziś jeszcze lepiej wygląda i niezupełnie się zestarzała. Na scenie szła mile i gładko, do czego się przyczynili wszyscy wykonawcy, jakkolwiek żaden nie miał sposobności zabłysnąć oryginalnym pomysłem lub dosadną charakterystyką. Gra musiała być taką jak sztuka—poprawną i gładko utoczoną.

S. K.

LIBERUM VETO.

Wystawa projektów na pomnik Mickiewicza. — Milczenie o umarłych. — Ciekawe pytanie. — Karnawał letni. — Bilety wolnego wejścia. — Ich potężny wpływ na opinię publiczną. — Troska o Laubego. — Dobrodziejstwa dróg żelaznych. — Odwrót z pogrzebu W. Hugo. — Anna Mazowiecka. — Jak wiśnie zjada pani hrabina a jak Marysia.

Jeszcze raz o projektach na pomnik Mickiewicza? Niepodobna — uwolnijcie nas, czytelnicy, od tego kielicha goryczy! Wprawdzie stało się to zwyczajem naszej prasy, że ile razy przyjedzie do Warszawy p. Modrzejewska i zagra *Frou-frou*, tyle razy *Frou-frou* jest przedmiotem krytycznych rozpamiętywań; ale chociaż modele z konkursu krakowskiego przybywają do Warszawy po raz pierwszy, pozostawmy każdemu z nich tę palmę, którą mu korespondenci przyznali. Zresztą o umarłych lepiej... nic nie mówić, a w Resursie obywatelskiej na stołach, zielonem i czerwonem suknem okrytych, spoczywają tylko umarli, między którymi p. Dykas pokrajany na preparaty. To też w sali wystawy zdaje nam się, że jesteśmy w prosektorium.

Przed pół rokiem te projekty ukazane w Warszawie miałyby swój cel — głosy

tutejszej opinii powstrzymałyby może sąd konkursowy od popełnienia słynnego wyroku; dziś są po prostu zbyteczną satyrą, ktora wywołuje jedno tylko pytanie: czy wypracowywany pod kierownictwem Matejki nowy projekt przed ostatecznem przyjęciem będzie przysłany do Warszawy, czy też — jak te szkice — zobaczymy go po zapadnięciu klamki? Dziwi mnie bardzo, że to pytanie tak mało zajmuje naszą prasę. Ze wszystkich pomysłów pomnika dla Mickiewicza najzuchwalszym, ale i najniedorzeczniejszym wydaje mi się zupełne odebranie głosu Warszawie, albo raczej zmuszanie jej, ażeby jak góra przychodziła do Mahometa, bo Mahomety i Mahomeciki nie chcą przyjść do góry. Królestwo Polskie dało najwięcej pieniędzy i posiada więcej niż Galicya głów, do których po rozum chodzić warto; a chociaż z *jury* wystąpił wierny aż do grobu Dykasowi p. M. Sokołowski, którego śpiew łabędzi był może najweselszą aryjką operetki konkursowej, to jednakże po tylu zawodnych doświadczeniach mamy prawo przypuszczać, że z *Dzwonkiem trzeciego zakonu św. Franciszka serafickiego* sam Kraków sobie poradzi, ale z pomnikiem dla Mickiewicza — nie.

„Od rzeźby do wystawy krok jeden“ — jak powiada pewien fejletonista warszawski, zmuszony co tydzień kręcić i wiązać bicz z piasku. Mamy tedy karnawał letni: mamy szlachtę, z której wymion, wyssanych przez lichwiarzy, kupcy i restauratorowie warszawscy spodziewają się jednak wydoić kilkadziesiąt tysięcy rubli; mamy wyścigi, defiladę powozów w Alejach, piękne toalety, wzmocnioną podaż i popyt dam, ubierających się w kolorowe kaftaniki i mopsy, mamy ruch i jazdę „kawalerską,“ pracującą nad pomnożeniem liczby przejechań — co wszystko razem nazywa się wystawą rolniczą lub rolniczo-przemysłową, a jest właściwie — karnawałem letnim. Szczęśliwi posiadacze „biletów czerwonych,“ redakcyjnych, (organy konserwatywne powinny zaprotestować przeciwko tej barwie) byli już we wtorek świadkami otwarcia „ekspozycyi“ —jak się wyrażają pisma dbałe o czystość mowy polskiej. Najbliższym rezultatem owej „ekspozycyi“ będzie to, że liczba głosów pochwalnych z niewielkim brakiem pokryje liczbę biletów czerwonych.

O bilety wolnego wejścia i... wolnej jazdy, jakże ciężko ważycie na szali krytyki bezstronnej! Wiadomo, jak dokuczliwe i kosztowne dla publiczności są brudne, wszelakiem robactwem i innymi śladami bytności nieczystych pasażerów ozdobione poduszki tramwajów, które każdy chętnie by zrzucił a za które płacić musi 2 kop. Kiedy razu pewnego w rozmowie z siedzącym obok literatem pozwoliłem sobie przyjemności tego daremnego oburzenia, którem już tylokrotnie zasilili szpalty dzienników rozmaici obywatele Warszawy, mój towarzysz odparł:

— Zawsze to jest wygoda i bezpieczeństwo od zbyt wonnych sąsiadów, zwłaszcza na linii š-to Jerska i Grzybów.

W tej chwili zbliżył się konduktor; literat wyjął kartę i podyktował: nr. nn.

Zrozumiałem wygodę.

Jedno z pism objawia dziwną dbałość o dochody p. Laubego. W deszcz, w zimno pędzi ono gwałtem ludzi do Doliny Szwajcarskiej, przypomina im obowiązki względem sztuki i zachwyca się programami koncertów z takim zapałem, jakiego w nim nigdy nie wywołał swą orkiestrą p. Noskowski...

— Ach, kochany panie Laube — mówiłem wczoraj we śnie—pogoda u nas brzydka, jedź pan lepiej do Prus.

— Ani myślę — odrzekł mi dyrektor.— Gdzie ja zresztą znajdę taki drugi naród, któryby słuchał mojej orkiestry.

I z uśmiechem pokazał mi paczkę biletów redakcyjnych.

Czarodziejski to środek! Nietylko jednym otwiera usta, ale drugim zamyka. Koleje warszawskie, które niemal wszystko robią, co tylko potrzebne dla podrożenia jazdy, wprowadzając na czas lata pociągi miejscowe i spacerowe dla mieszkańców letnich, nie sprzedają biletów do przystanków, lecz do stacyj następnych. Ponieważ na bliższą odległość wynosi to dwa razy więcej, ponieważ ludzie zajęci pracą w Warszawie nie mogą skutkiem tego często wyjeżdżać do swych rodzin na wieś, ponieważ biedniejsi przez oszczędność *pieszo* przechodzą dwa razy dziennie po plancie drogę 7 lub 8 kilometrów, ponieważ jest to oburzające nadużycie, ażeby jadący do Brwinowa płacili cenę do Grodziska, a do Rembertowa cenę do Miłosny, więc dla zasady i w interesie wielu wyzyskiwanych chciałem raz pozwać zarząd kolei o... 25 kop. Jeden z prawników wątpił o powodzeniu procesu, gdyż strona przeciwna zasłoni się ustawą — co mnie jeszcze nie przekonało. Ale gdy mi jeden literat zauważył: daj pan pokój, powiedzą, że się dopominasz o bilet wolnej jazdy — straciłem odwagę! Rzeczywiście, tam, gdzie opinia prasy jest odbiciem posiadania lub nieposiadania biletu wolnej jazdy, każdy głos naganny staje się bardzo podejrzanym. I ja też, jak poświadczyć mogą czytelnicy, bardzo rzadko obrażam majestat kolejowy nawet wtedy, gdy mi z wiarogodnego źródła donoszą o pociągach czekających dłużej na p. naczelnika, który kończy robra, o życzliwości dla pewnych kupców przy licytacyach na pokrycie wagonów, o wstrzymywaniu sznelcugów w drodze dla zabrania maszynisty itd. Chociaż w duszy ciągle taję to przekonanie, że furman wiozący kogoś do Dębego nie powinien brać zapłaty do Mińska! Ale cóż na to poradzi prasa mając usta zaklejone biletami wolnej jazdy!

„Od kolei do W. Hugo krok tylko jeden“ — powiada wspomniany fejletonista. Niech więc i mnie wolno będzie w tem miejscu zapisać odwrót, jaki część tej prasy wykonała po pogrzebie wielkiego romantyka. Uległ on akurat temu samemu losowi, co niedawno Brandes. Z początku krzyknięto chórem: wielki! ale później ten i ów opatrzył się i zawołał do swych towarzyszów: Alez panowie, my mamy przecie być konserwatystami! Co o nas powie francuskie *St. Germain!* Wtedy zmiana frontu. Bo konserwatyzm spoczywa w duszy wielu naszych zachowawców jak w żołądku surowy niestrawiony ogórek, objawia się jak czkawka, służy często za kask z pióropuszem, który po skończonej paradzie chowa się w karecie i zastępuje czapką. Takie właśnie kaski przywdziało kilku naszych konserwatystów, którzy z miną Achillesa... Offenbachowskiego rzucają na pamięć W. Hugo groźne: „wrrrrróg rrrrreligii!“

„Kiedy mowa o W. Hugo. to wspomnijmy o Annie Mazowieckiej“ — jak powiada drugim sposobem wiązania treści wzmiankowany fejletonista. Znany hodowca p. Grabowski tem imieniem nazwał klacz wyścigową, czem ściągnął na siebie ostrą wymówkę, nadesłaną do *Kuryera codz.* Podzielałbym pretensyę autora tej nagany, gdyby p. Grabowski chciał Annie Mazowieckiej ubliżyć. Tymczasem przeciwnie, on ją chciał uczcić. Dla mnie i dla ludzi stojących po za kultem stajni, koń rasowy jest to tylko koń, o tyle brzydszy od innych, że chudy. Dla p. Grabowskiego zaś czysta krew jakiejś klaczy lub ogiera więcej warta, niż krew najprawomyślniejszych literatów i literatek. Zaręczam też, że p. Grabowski żywi szczególny szacunek dla Anny Mazowieckiej, podobnie jak ktoś dawniej z wyższych pobudek dziejowych ochrzcił swego konia Kiejstutem. A jeżeli kiedy na torze warszawskim zapisany zostanie do wyścigu „Jeleński,“ to wcale nie będzie znaczyć, że jego właściciel jest semitą.

„Od koni wyścigowych do kursów żeńskich p. Masalskiej krok jeden“ — powiada mój fejletonista. Przełożona tych kursów ogłasza wielkiemi literami w *Kuryerze warsz.*. że „hrabina Zofia Z. wniosła opłatę za niezamożną uczennicę.“ Ha, niech się i świat *Prawdy* dowie o tym nadzwyczajnym wypadku, wynagradzającym częste ofiary składane u nas z zastrzeżeniem... bezimienności.

— Jak pani hrabina cudownie zjadła wiśnię — mówi paź w jakimś dramacie.

Tymczasem gdy Marysia zjada wiśnie — to rzecz bardzo zwykła.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Uprzejmość dla warszawiaków a energia dla lublinianina w Radomiu. — Pismo humorystyczne tamże. — Obawy chłopów ciągnionych na wystawę. — Samosąd. — Sądzony sędzią. — Straty p. A. D. — Rozboje. — Kasy oszczędności na wsiach. — Towarzystwo kredytowe wiejskie.

Skończyła się wreszcie wystawa radomska i obszerne jej opisy, jakimi częstowała czytelników prasa wdzięczna, że znalazła materyał do zapełniania łamów w chwili zbliżającej się posuchy dziennikarskiej, kiedy nawet, jak powiada Prus, polityka wyjeżdża na letnie mieszkanie.

Korespondentom pism warszawskich podobał się bardzo Radom i wystawa: przyjmowano ich gościnnie, honorowano i poczęstowano dobrą kolacyą, chwalą więc zasługi i cnoty członków komitetu, na pierwszem miejscu stawiając uprzejmość a potem dopiero rozum, energię itd. Natomiast sprawozdawca *Gazety lubelskiej* główny nacisk kładzie na energię, a o uprzejmości nie wspomina nawet biedaczysko. Podówczas kiedy delegatów warszawskich przyjmowano z otwartemi rękami, bok ciekawego lubliniaka spotkał się z zaciśniętą w kułak pięścią czynnego członka komitetu. Po takiem niespodziewanem powitaniu nastąpiło dopiero wyrzucenie, czy wyproszenie za bramę dziennikarza lubelskiego, należącego widocznie do starej kategoryi reporterów, których dziś już godnie przedstawia w prasie warszawskiej jeden chyba Półkozic, reporterów poniewieranych i opowiadających o tem wszystkiem w sposób wesoły. Jakże oni są maluczcy i mizerni wobec tych wielkich i głośnych, co to urządzają interwiewy, rozmawiają z szachem o czterech siostrach a z księciem Walii o wyścigach, zjadają bezpłatnie kolacye i jeżeli bywają bici — to nigdy o tem nie mówią! Ale wracam do rzeczy a raczej do Radomia, mimochodem zaznaczając tylko oryginalne przyjęcie publicysty lubelskiego.

Nie była to zresztą jedyna niespodzianka; drugiej dostarczyły na prędce zaimprowizowane wyścigi, godne uwagi z tego względu, że jednym z najzapaleńszych sportsmanów był p. Słupski, dziennikarz i pedagog, który zresztą tradycyi literackiej nie sprzeniewierzył się i zawsze ostatni przyjeżdżał do słupa.

Radom w przyszłości gotuje nam jeszcze trzecią niespodziankę — pismo humorystyczne. Zabawa po pracy jest najzupełniej zasłużoną, napracowali się ludzie ze dwa tygodnie nad urządzeniem wystawy, niechże się potem z rok jaki lub dwa (dłużej chyba pismo nie potrwa) pośmieją. W sprawozdaniach z wystawy znaleźć będzie można sporo ciekawego materyału nawet do satyry.

Podczas objadu wino rozgrzało serca i rozwiązało języki biesiadników. Obywatele pili za pomyślność moralną i materyalną stanu włościańskiego a pod koniec uczty gotowi byli nawet ucałować „młodszego brata,“ gdyby ten jakim cudem znaleźć się mógł w tak dobranem towarzystwie.

A tymczasem na placu wystawy „stan włościański,“ spożywając zapasy przyniesione z domu, rozumował w ten sposób: „Cóż mi z tego, że stać tu będę przez tydzień, kiedy zapewne nic nie dostanę, a panowie każecie mi jeszcze potem zapłacić za paszę.“ Na pytanie zaś dlaczego niewielu tylko włościan przyjęło udział w wystawie, opowiadał: „wielu moich sąsiadów nie przyjechało, bo się obawiają *nowych podatków*, a kto wie, czy nam i bydła nie zabiorą!“ (*Kur. warsz.*).

Dodać trzeba, że komitet wydawać musiał włościanom zapewnienia piśmienne, iż żadnych opłat pobierać od nich nie będzie.

Korespondent *Kuryera warszawskiego* dziwi się temu niedowiarstwu — ja nie dziwię się, ale obliczam, na ilu to obietnicach „dobrodziejstw“ sparzyć się musiał chłop polski, kiedy dzisiaj nawet na wystawę dmucha.

Dmucha on zresztą i na inne nieulegające zaprzeczeniu dobrodziejstwa cywilizacyi, jak np. sądy i nie ufając im, wymierza sam sobie sprawiedliwość, jak może i umie tj. w sposób pierwotny, barbarzyński.

W ciągu ostatnich kilku tygodni w jednej okolicy w gub. radomskiej włościanie sprzątnęli trzech złodziejów: dwóch żydów i jednego chrześcianina. Ten ostatni nietylko że umiał wykręcać się od sądu, ale miał wszelką nadzieję zostać sędzią gminnym, albo przynajmniej ławnikiem. Ze złodziejem można było jeszcze od biedy dać sobie radę, ale obawa, żeby nie został sędzią, skłoniła włościan do energicznych kroków i rzezimieszek padł ofiarą wygórowanej ambicyi.

Grubiańscy anglicy nazywają bez ceremonii złodziejem dłużnika, który zarywa swoich wierzycieli, u nas panują obyczaje łagodniejsze i sposób wysławiania się jest bardziej delikatnym. Więc też co najwięcej nazwa lekkomyślnego, albo dobrego chłopca z naturą szeroką należy się owemu szafarzowi sprawiedliwości w miasteczku X. w powiecie dziśnieńskim, o którym pisze nasz korespondent. Wesołego sędziego przeniesiono na inną posadę, w dzień wyjazdu tłum wierzycieli płacząc lub krzycząc, stosownie do temperamentu, otoczył jego mieszkanie i domagał się zapłaty należności, dopiero interwencya policyi uwolniła oblężoną sprawiedliwość, której w przeciwnym razie pozbawieni byliby przez dłuższy przeciąg czasu mieszkańcy innego grodu, do którego była ona na eksport przeznaczoną.

Miejscowy socyolog, który pod tytułem „odpowiedzi na kwestyonaryusz“ drukuje w *Korespondencie płockim* szereg bzdurstw i majaczeń chorego umysłu, zaliczy zapewne nowego swego współobywatela do stanu myśliwskiego. Socyolog ów niejaki p. A. D. dowodzi najprzód, że „stosowanie nauki do rolnictwa jest prawie żadne“ gdyż jest ona „źródłem niedorzecznych prób i przykrych zawodów.“ „Bardzo dobrze rozumiał to ś. p. Wojciech Jastrzębowski, rzeczywiście bowiem nieuczył on wcale nauk przyrodzonych w ścisłem znaczeniu, teoretycznie wiązał je z wszechświatem, czyniąc je zarówno niedocieczonemi.“ Wierny tradycyi mistrza p. A. D. stara się uczynić również „niedocieczonemi“ dla zdrowego rozsądku swoje bajania. Uspołecznienie ludzkości przechodziło trzy fazy: stan myśliwski, pasterski i rolniczy. Ten ostatni jest najwyższym stopniem rozwoju, ale nie cywilizacyi, która „ludzi nas tylko swoim blaskiem i podaje strawę jedynie stanu myśliwskiego godną. Rozum bowiem i z niego poczynającą się myśl, stały się punktem wyjścia wszystkich naszych dzisiejszych usiłowań bez względu na to, iż niegdyś już ludzkość z tego punktu wyszedłszy, stan myśliwski, bo od myśli pochodzący (polecamy ten słoworód uwadze filologów) osiągnąć jedynie zdołała.“ P. A. D., jako stojący na wyższym stopniu rozwoju, obywa się bez myśli i bez rozumu, z czego zresztą podobny jest do innych naszych socyologów, i w natchnieniu wygłasza różne uwagi o stanie pasterskim i rolniczym, oraz o przyszłości społeczeństw. Największymi wrogami ludzkości są przedstawiciele stanu myśliwskiego, którzy działają za pomocą dynamitu itd.

Niepodobna zrozumieć dlaczego *Korespondent* drukuje tego rodzaju brednie. Ludzie słabi umysłem zasługują na litość i względne obejście, ale jak nie wypuszcza się ich na ulicę, tak samo nie wpuszcza się do literatury. Najzabawniejszem z tego wszystkiego jednak jest ta okoliczność, że owo potępienie dla stanu myśliwskiego wygłasza pismo, które przez całą wiosnę literalnie połowę szpalt swoich poświęcało opowiadaniom i radom łowieckim, sposobom polowania i ochrony zwierzyny itd.

Na trakcie pomiędzy Działoszynem i Radomskiem jakiś śmiały przedstawiciel stanu myśliwskiego w biały dzień napadł na przejeżdżającego pocztyliona, zrzucił go z bryczki, sam wsiadł i najspokojniej odjechał z korespondencyą pieniężną, w oczach łagodnych rolników, którzy obojętnie przypatrywali się temu zajściu, widocznie nie chcąc skompromitować p. A. D. który obdarza ich wysoko rozwiniętemi uczuciami altruistycznemi.

Przyznam się, że pod jednym względem podzielałem zdanie p. A. D.: sądziłem mianowicie, iż rzeczywiście rolnictwo wpływa na wyrobienie popędów altruistycznych bardziej aniżeli inne zajęcia. Statystyka dowiodła mi jednak, że się mylę: na 7,000 obywateli znalazło się 4 zaledwie, którzy dla służby swej założyli coś w rodzaju kas oszczędności lub emerytalnych. Poprzednio już wspominając o podobnym fakcie, określiliśmy go jako proste spełnienie obowiązku, jako zrozumienie przez pracodawcę swego własnego interesu. Takich białych kruków znalazło się aż 4, to znaczy, że każdy warszawiak, jak oblicza Prus, ma 25 razy więcej szans być przejechanym w ciągu roku, aniżeli robotnik wiejski dojść do jakichkolwiek oszczędności. Dotychczas przekonany byłem mocno, że szlachta dziedzictwem krwi otrzymać musiała pewne popędy altruistyczne, pewną ofiarność na rzecz innych i że ona właśnie do naszej gospodarki kapitalistycznej wnosi uszlachetniające pierwiastki. Okazuje się tymczasem, że wpośród całego „narodu szlacheckiego“ znalazło się raptem aż czterech ludzi, którzy wypełnili obowiązki, aż czterech, którzy zrozumieli swój interes. Niezbyt to pochlebnie świadczy o sercu i o inteligencyi całej warstwy. Dorobkiewicze fabrykanci, niemcy, jak u nas mówią, wypasieni na polskim chlebie, zrobili stokroć więcej. Próżno oglądam się na wszystkie strony, pomiędzy wielkimi właścicielami ziemskimi nie widzę ani jednego, któryby dorównał bodaj takiemu Scheiblerowi.

Mieszkańcy Łodzi wybrali już dwa place, na których staną mają gmachy gimnazyum męskiego i żeńskiego, i jednocześnie prawie dowiedzieli się, że ministeryum oświecenia nie może pozwolić na utworzenie tych szkół dopóki nie otrzyma wiadomości o liczbie ludności, o narodowości i wyznaniu mieszkańców itd. Dane te zebrano już oddawna, ale dotychczas nie doszły jeszcze do miejsca przeznaczenia. Tymczasem zaś wielu fabrykantów niemców, którym, nie wiadomo dlaczego, założenie gimnazyum jest solą w oku, agitują przeciw otwarciu przybytków nauki. Kalisz okazał się energiczniejszym, towarzystwo kredytowe dla tego miasta już w roku bieżącym będzie mogło zorganizować się.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 11 czerwca.

Wybory do Rady państwa w Austryi uważać już można za skończone i jakkolwiek trudno jeszcze oznaczyć liczebny stosunek każdej partyi, nie ulega wątpliwości, że centraliści ponieśli klęskę. Najdotkliwszą dla nich moralnie jest porażka w Wiedniu, gdzie stracili cztery okręgi i w Czechach, bo tam niespodzianie zawiodły ich nawet Izby handlowe. W nowej Radzie wiernokonstytucyjni posiadać będą o dwadzieścia kilka mandatów mniej. Nie wszystkie jednak straty zaliczać trzeba na rachunek korzyści autonomistów; w stolicy zwyciężyli centralistów demokraci i antysemita Pattai, w innych okręgach przeszli członkowie partyi klerykalnej. O wyborach w Galicyi nie będziemy pisać szczegółowo, ponieważ osobne sprawozdanie o nich da nasz korespondent, zaznaczamy tu tylko, że w Kuryi gmin wiejskich stańczycy utracili kilka mandatów na rzecz tz. partyi środka, rusinów wybrano 5, w tej liczbie czterech kandydatów metropolity, wogóle zaś zmiany są nieznaczne.

Rządy Taaffego uważać można za utrwalone ale i teraz stronnictwo popierające jego politykę nie będzie jeszcze posiadać $^2/_3$ głosów, potrzebnych mu do przeprowadzenia zmian w konstytucyi.

Na Szląsku kandydat narodowy ks. Świeży zwyciężył centralistę Obrcazja dzięki poparciu ewangelików - polaków. Jest to fakt bardziej pocieszający aniżeli wątpliwe korzyści ze zwycięstwa autonomistów.

Rząd niemiecki przedstawił radzie związkowej wniosek o pozbawieniu księcia Cumberland praw do tronu brunświckiego, pomimo opozycyi dla przyzwoitości, wątpić nie można, że wniosek ten uzyska potrzebną sankcyę. Pozbywając się niedogodnego pretendenta w domu, jednocześnie niemcy popierają innego w Afryce przeciw sułtanowi zanzibarskiemu, który ufny w opiekę Anglii i Włoch nie bardzo lęka się ich gróźb, a przynajmniej udaje odważnego.

W Izbie francuskiej wniosek o oddanie pod sąd Ferry'ego odrzucony został znaczną większością bo 322 głosami przeciw 153. Były prezes ministeryum posiada wielu nieprzyjaciół, którzy działali przeciw niemu energicznie, ale Brisson stanął po jego stronie, niechcąc w przededniu wyborów wprowadzać rozdwojenia w obozie republikańskim. W Tonkinie wybuchły znowu rozruchy, lecz zostały stłumione, poważniejsze obawy wzbudza powstanie w Kambożdży ponieważ wojsk tam niema wcale.

Z powodu zamiany kościoła św. Genowefy na Panteon, już po pogrzebie Wiktora Hugo arcybiskup paryski wystąpił z memoryałem, napisanym w tonie wyzywającym. Minister spraw wewnętrznych dał wojowniczemu prałatowi nauczkę grzeczności i na tem skończyło się zajście. Rozumie się, że protest arcybiskupa, jak i również projektowany protest papieża nie osiągną żadnego skutku i mogą tylko zaszkodzić autorom i ich zwolennikom.

Ostatnie gazety przynoszą wiadomości o przesileniu ministeryalnem w Anglii. Izba deputowanych większością 12 głosów odrzuciła projekt budżetu, chociaż rząd z przyjęcia tej uchwały zrobił kwestyę gabinetową. Okazuje się, że przyczyną po-

rażki rządu nie są niepowodzenia polityki zagranicznej ale sprawy irlandzkie. Radykaliści sprzeciwiają się przedłużeniu stanu wyjątkowego w Irlandyi i żądają dla tego kraju szerszej autonomii, oni to w chwili stanowczej opuścili Gladstone'a, który nawet pomimo swego „łatwego charakteru“ chyba już teraz zmuszony będzie podać się do dymisyi. Dopóki jednak sprawa nie została dostatecznie wyjaśniona powstrzymujemy się od wszelkich uwag.

Z Turcyi nadchodzą znowu niepokające dyplomacyę wieści. Arnauci wpadli na terytoryum serbskie, do Macedonii wkroczyło kilka band bulgarskich, przeciwko którym Porta wysłała wojsko, wreszcie na wyspie Kandyi burzy się ludność grecka. Gubernator miejscowy Fotiades-bej został odwołany a na miejsce jego przybył Sawas-pasza, któremu kandyoci odmawiają posłuszeństwa.

Stan zdrowia cesarza Wilhelma polepszył się nieco w ostatnich dniach, tak przynajmnicj zapewniają telegramy.

O sprawie afgańskiej piszą już dziś mało, układy posuwają się powoli i dotyczą przeważnie drobnych szczegółów. Rozeszła się pogłoska o zabójstwie emira Abdurrachmana przez niezadowolonych z jego przymierza z anglikami poddanych, ale dotychczas wiadomość ta nie została potwierdzoną.

W Hiszpanii nastąpiło porozumienie się pomiędzy umiarkowanymi liberałami i lewicą dynastyczną. następstwem tego związku mają być ważne zmiany w polityce wewnętrznej państwa. Program zjednoczonych stronnictw, które posiadać będą większość w kortezach obiecuje: ogólne prawo wyborcze, małżeństwa cywilne, sądy przysięgłych i wolność prasy.

Paryż. Izba deputowanych przyjęła prawo o głosowaniu z listy ze zmianami przez senat poczynionemi.

Londyn. Przywódcy konserwatystów gotowi są podjąć się utworzenia gabinetu, na czele którego stanął by w takim razie lord Salisbury.

Konstantynopol. Z powodu mianowania Savas-paszy wszyscy urzędnicy chrześcianie na wyspie Kandyi podali się do dymisyi.

KORESPONDENCYE „PRAWDY.“

Kijów, 6 czerwca.

Zapewne już gazety rozniosły wieść o smutnej katastrofie na Rostowskiej drodze, ale o takich wypadkach nigdy u nas mówić nie dosyć. Kiedy czytasz, że kładą się relsy w poprzek drogi „dla rabunku,“ że konduktora nie było ani jednego trzeźwego, to doprawdy uczuwasz dreszcz, gdyż nie można dostrzedz tej granicy, gdzie leży wypadek, a gdzie jest najpotworniejsza zbrodnia, popełniana z rozwagą, zimną krwią lub niedarowaną lekkomyślnością na podróżnych. Kilkanaście lub kilkadziesiąt rodzin opłakuje może to nieszczęście; dla skonstatowania go, dla wykrycia powodu i przyczyn tej zbrodni jedzie na miejsce katastrofy władza—warto popatrzeć lub posłuchać przynajmniej, jak tam wygląda to obozowisko. Odwróćmy oczy od tego przykrego widoku, w którym dziś rysuje się już partya wista i butelki koniaku na lodzie.

Wyszła w Kamieńcu podol. broszura napisana przez p. Wiaczesława Piotra, dyrektora miejscowego gimnazyum, pod tytułem: *Trzy artykuły z dziedziny sławianoznawstwa*. Pierwszy artykuł poświęcony pielgrzymce czechów do grobu Husa i Hieronima Praskiego w Konstancyi, drugi—o pochodzeniu słowiańskiego pisma, a trzeci o znaczeniu Glinki w historyi rosyjskiej muzyki. Pan Piotr jest wielkim przyjacielem czechów i lubi zachwycać się nimi, zna język—zdaje się—przynajmniej książkowy, był w Czechach kilkakrotnie, ale ani Husowi i Hieronimowi a tembardziej sławiańtwu nic nie pomógł swoją broszurką, w której więcej zapału i werwy młodzieńczej, niż głębszego i bystrzejszego spojrzenia w życie. Zresztą może to nie było celem autora. Entuzyazm jego dla czeskich męczenników nie ma prawie granic, uważa ich za „prawdziwych olbrzymów ducha i bohaterów narodowych“ a słuchając mowy Podlipnego, gotów wierzyć, że „bez swobody nie ma ani prawdziwej pracy, ani prawdziwej nauki, ani oświaty, ani polityki, ani religii, ani moralności.“

Pan Piotr tyle rozlał zachwytów dla dalekich braci w swojej broszurce, że starczyłoby na tom cały, więc mu już wzroku i łez zabrakło na rzeczy i sprawy bliższe. Patryotyczne uniesienia Czechów nasuwają mu czarną chmurę na niebardzo zamyślone czoło i martwi go „indyferentyzm (rosyjski) dla szczęścia i przyszłości państwa, dochodzący nieraz do beztreściowego (nielepyj) separatyzmu i wogóle do różnorodnych dzikich (dosłownie) dążeń.“ Autor nie wyraża się jasno i może „moje w seredyni ta ne może...“ jak mówi chłop ukraiński, ale błyszczy pomiędzy jego wierszami panslawizm Łamańskiego i Hilferdinga. Radby mieć bliżej przy sobie kochanych braci czechów, aby ich ściskać, dopóki nie będzie miał z nimi interesu, a potem... no, potem można im zaproponować „ogólno-literacki język.“

Takim samem zamiłowaniem słowiaństwa tchnie i drugi artykuł o pochodzeniu pisma słowiańskiego, ale jest to zamiłowanie z pewnym rodzajem dumy „słowiańskiej“ połączone. Gdyby można było uczepić się jakiejś niteczki, gotów by p. Piotr świat cały przekonywać, że pismo słowiańskie, ledwie nie takie jak dziś istnieje, istniało już przed stworzeniem świata.

Zastanawiając się nad pytaniem, skąd pochodzi pismo słowiańskie, p. Piotr ma głównie na uwadze pismo, użyte do tłomaczenia ksiąg świętych. Chociaż słowianie zachodni na wiele wieków przed Cyrylem „czertami i riezami cztiachu“ a także „rymskimy i greczeskimy piśmeny,“ p. Piotra interesują tylko „ruskija piśmena“ które miał znaleść w Chersonesie św. Cyryl. Myśl ta bardzo mu się podoba, chociaż Jagicz istnieniu faktu zaprzecza, a nawet niektórzy rosyjscy badacze uważają to pismo za gockie. Profesor Müller utrzymuje, że większość liter z tego niby—słowiańskiego alfabetu jest zapożyczoną od chazarów, z którymi i stary Nestor każe mieć Rusi częste stosunki; chazarowie zaś zapożyczyli te litery od persów z dynastyi sassanidów. P. Piotr sądzi, że ponieważ chazarowie mieli w posiadaniu półwysep Krymski, gdzie mieszkali słowianie, więc od nich poszło i pismo. Jest to domysł potrzebujący jeszcze dowodu; rozstrzygać takie sporne kwestye w nauce—nie moja rzecz, ale widzieć je można. Widzi mi się, że objaśnienia nazwy „głagolica“ tem, iż staroperskie abecadło rozpoczynać się miało od litery *g*, jest co najmniej bardzo naciągniętem. Myślałbym raczej, że wyraz „głagolica“ jest równoznaczny z wyrazem „abecadło,“ bo w staroslowiańskim języku wyraz „hłaboł“ oznacza słowo, mowę, „hłaholiti“—mówić, więc „głagolica“ byłyby to znaki, utrwalające mowę czyli abecadło.

Bądź co bądź p. Piotr jest zagorzałym wielbicielem pisma św. Cyryla, znajduje go fonetycznie bardzo bogatem, bogatszem od dziś używanej „graždanki,“ która na pewne brzmienia wcale liter nie posiada i ta właśnie okoliczność utrudnia ogromnie rosyjską wymowę. Niedostatek dzisiejszej azbuki czuje p. Piotr dobrze i dlatego wprowadza do swojej pisowni nowe litery. (pisze np. nie „geroji“ a „heroji“—z grecka, nie „Ciurich“ a „Cirich“ itp.).

Z bieżących spraw chyba wypada zanotować nowy figiel, do którego zamierzają uciec się zubożeli zupełnie fabrykanci cukru. Obecne przesilenie w przemyśle cukrowniczym ma wielce odmienną racyę bytu od rolniczego. Rolników zabija brak pomocy państwowej i konkurencya zamorska, z którą skutkiem tego braku walczyć nie mogą. cukrownicy zaś zabijają sami siebie przez zbyteczną chciwość. Ceny na cukier spadły nie z innych powodów, lecz tylko przez nadmiar produkcyi, zpowodowany chęcią łatwego i wielkiego zysku. Nie jest ta obniżka złem bardzo wielkiem; konsumenci nawet zyskują, a producenci niech się przyzwyczajają zarabiać mniej. Nałóg osiągania 50% od kapitału włożonego tak zepsuł ludzi, że dziś usiłują sztucznie podwyższyć cenę cukru. Rząd, jak wiadomo, dla podniesienia wywozu, a tem samem większego rozwoju przemysłu cukrowniczego, zwraca akcyzę na towar exportowany. Chodzą więc pogłoski o zmowie fabrykantów, a raczej kupców, ażeby zawalony dziś rynek oczyścić z cukru sztucznym sposobem i wywołać większy popyt, a zatem wyższą cenę. Otóż chcą ci biedacy wywozić cukier za granicę, zbyć go tam chociażby za półdarmo, aby ceny na własnym rynku nie obniżać.

Takie tedy spekulacye zamierzają robić milionerzy na ubogiej skórze spożywców; zapewne—czemu nie drzeć łyka kiedy można.

Wczoraj zmarł cywilny gubernator kijowski Siergiej Hudim—Lewkowicz. Rufin Piotrowski pisał o tej rodzinie dosyć.

Fr. R.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nadesłane. Do Szanownych dłużników b. Towarzystwa bratniej pomocy uczniów Instytutu technicznego w Krakowie.

W styczniu r. b. wzywaliśmy Szanownych Panów do zwrotu pożyczek zaciągniętych w kasie byłego Towarzystwa. Nieliczne jednak zgłoszenia się zmuszają nas powtórnie upraszać Szanowych Panów, aby przed 1-ym sierpnia r. b. sprawy swe załatwili.

Co do strony prawnej, to podobnie jak dzisiejsza c. k. Akademia przem.-techniczna, dalszym niejako jest ciągiem dawniejszego Instytutu technicznego, tak samo i dzisiejsze „Towarzystwo uczniów c. k. Akademii przem.-technicznej w Krakowie,“ bezpośrednim jest następcą i prawnym spadkobiercą byłego „Towarzystwa bratniej pomocy Instytutu technicznego w Krakowie,“ które majątkiem swym odmiennie nie rozporządziwszy, oddało go w całości dzisiejszej Instytucyi.

Dla usunięcia zresztą ewentualnych w tym względzie wątpliwości, przytaczamy § 29 statutu, przez Wysokie c. k. Namiestnictwo zatwierdzonego, który brzmi dosłownie:

Towarzystwo czerpie swe dochody:

a) Z majątku pozostałego po b. Towarzystwie wzajemnej pomocy Uczniów b. Instytutu technicznego w Krakowie.

b) Z wpisowego i wkładek członków zwyczajnych i wspierających“ itd

W końcu oświadczamy po raz ostatni, iż po upływie naznaczonego terminu, poszukiwać będziemy naszych pretensyj drogą sądową, ogłaszając zarazem imiona ociągających się dłużników w pismach publicznych.

W Krakowie, d. 26 maja 1885 r.

Przewodniczący *C. Boczkowski.* Sekretarz: *Roman Scherautz.*

Kurator Towarzystwa *Prof. Jan Rotter.*

Wystawa przemysłowo-rolnicza otwarta została w d. 9 czerwca, szczegółowe sprawozdanie damy w przyszłym numerze.

— Wystawa projektów na pomnik dla Mickiewicza otwarta została w sali Resursy obywatelskiej, tamże mieści się również wystawa obrazów Aleksandra Lessera.

Kursy żeńskie dla nauki języków pod kierunkiem p. Massalskiej otwarte zostaną pierwszego września r. b. Dwuletni kurs obejmować będzie gramatykę, ćwiczenia praktyczne i historyę literatury każdego z wykładanych języków (francuskiego, niemieckiego, angielskiego, włoskiego i rosyjskiego).

Bank przemysłowy powstać ma w Warszawie. Działalność jego w przewidywaniu reorganizacyi Banku polskiego oprze się głównie na udzielaniu pożyczek na zastaw towarów.

Spółka udziałowa. Zawiązana została w celu poparcia przemysłu drobnego spółka udziałowa, która zakupywać będzie wyroby włościańskie. Akcye po rublu nabyć można w Komitecie wystawy.

Emigracya. Z Poznańskiego w kwietniu wyjechało do Ameryki 2660, a z Prus zachodnich 2559 osób.

Pracownia fizyczna powstać ma w Warszawie z ofiarności osoby prywatnej.

Regulacya Wisły. Wskutek przedstawienia gen. gubernatora warszawskiego, postanowioną została regulacya Wisły w obrębie miasta na przestrzeni 11 wiorst. Roboty odbywać się mają w ciągu 4 lat i kosztować 800,000 rs.

Dr. Józef Łepkowski znany archeolog wybrany został na rektora uniwersytetu jagielońskiego.

Na konkurs ogłoszony przez *Tygodnik powszechny* nadesłano 37 rysunków, wyobrażających typ „polskiej dziewicy;“ nagrodę otrzymał p. W. Gerson.

Stan obrony wzmocnionej ogłoszony został w miejscowościach należących do zarządu gubernatora wojskowego w Kronsztadzie.

Pochodzenie szlachty rosyjskiej. Z 754 rodzin arystokratycznych tylko 197 pochodzi z Wielkorosyi i Małorosyi, lecz i w tej liczbie co do 28 familii niema pewnych wiadomości, 109 rodzin z Polski, 125 ze szlachty lub książąt litewskich, 136 z Ordy tatarskiej i Krymu, 98 z Prus i Niemiec itd.

Błyszcz ołowiany odkryto w okolicach Bzina.

Katalog systematyczny biblioteki głównej wyjdzie wkrótce w druku, opracowane są już działy prawniczy i lekarski.

Bibliografia. *Katalog wystawy przemysłowo-rolniczej* ułożony przez Kazimierza Sulistrowskiego. Wydawnictwo to zawiera potrzebne informacye, plan, skorowidz itd. Oprócz tego wyszły dwa dodatki, w których pomieszczono spis spóźnionych wystawców.

— Wacław Koszutski. *Pomiary i znamiona charakterystyczne najwięcej znanych ras i odmian bydła nizinnego i górskiego* (według Lehnerta). Warszawa.

— Katalog księgarni Stanisława Giejsztora. *Dział antykwarski.* 4. Katalog dzieł dawnych i wyczerpanych.

Szczepienie cholery zastosowane zostało przez doktora Ferran w Walencyi.

Zmarli. Kazimierz Krzyżanowski, inżynier rolniczy.

— Mikołaj Bołoz Antoniewicz poeta, autor *Anny Oświecimówny.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. Kol. Bywa jeszcze gorzej—np. ktoś, siedzący w Warszawie, pisuje korespondencye z Paryża, a jakkolwiek niewidomy—rozprawia o malarstwie. Chociaż rzeczywiście niewidomy nie potrzebuje być w Paryżu dla sądzenia obrazów.

P. St. Sk. w Boguszynie. W oryginale dzieła, którego przekład drukujemy w dodatkach *Prawdy*, znajduje się osobna o tym przedmiocie rozprawa i podana jego literatura.

P. Antoniemu Maz. w Monachium. Pański przekład tej powiastki Zoli jest co najmniej—płaty; drukować więc jej ponownie nie możemy.

P. J. Wyrzyk. w Białej. Za zmianę adresu należy się kop. 20.

P. J. Iw. w Łomży. Nie wiemy. Ogłoszenia takie drukujemy bezpłatnie.

W. K. Jeden z prowizorów aptekarskich prostuje skargę pańską objaśnieniem, że w taksie waga jednego grana przyjęta jest przy ocenianiu lekarstw za jednostkę niepodzielną.

W. Tow. B. P. Wysłano—co do dodatku—nie.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Ze składek wintowych rs. 11, E. J. rs. 3, za pośrednictwem Bukiego z Płocka rs. 7 kop. 50, M. Lip. rs. 5, K. S. rs. 3—z Ekaterynosławia.

Dla studentek w Petersburgu. Xy z Płocka rs. 3 kop. 40.

Na kolonie letnie. H. H. rs. 4, P. T. rs. 3, K. S. rs. 4, M. Lip. rs. 5—z Ekaterynosławia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Іюня 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski